WTOREK Nr 49 24.IV.1979 Cena 1,50 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

III FORUM HSPS

zakończyło

w Warszawie obrady O HONOR POKOLENIA

Przez dwa dni, 11-12 kwietnia br., 300 aktywistów, członków drużyn HSPS, obradowało w Warszawie. Pierwszego dnia odbyło się dziesięć spotkań z ludźmi, którzy zgodzili się przekazać młodzieży własne przemyślenia oraz opinie dotyczące współczesnego świata, zadań młodego pokolenia. Gorące dyskusje rozgorzały podczas spotkań z Romanem Bratnym, Kazimierzem Dąbrowskim, Józefem Chałasińskim, Adamem Hanuszkiewiczem, Józefem Kozielnickim, Marią Łopatkową, Bogdanem Suchodolskim, Wojciechem Żukrowskim, a także w redakcjach telewizyjnej „siódemki" i „Na przełaj". O niektórych spotkaniach będziemy pisali w najbliższym czasie. Relację z Forum zamieszczamy na str. 2.

NIEUSTAJĄCY KONKURS NA KORESPONDENCJĘ DO NASZEJ GAZETY

Pierwsi laureaci już za kilka dni otrzymają kolekcję herbów miast wojewódzkich

Przypominamy – w 38 numerze „Świata Młodych" ogłosiliśmy konkurs na najlepszą korespondencję umieszczoną w gazecie, za którą nagrodę stanowi kolekcja herbów miast wojewódzkich.

Komisja redakcyjnego kolegium za najlepszy wydrukowany w 42 numerze gazety uznała list pt. „Aukcja własnoręcznie wykonanych przedmiotów na CZD", podpisany przez **„Wędrowników"** z kl. VIII w Dobczynie.

Najlepsza korespondencja numeru 43 „ŚM" pt. „Polary, nowe obiekty kosmiczne" – ukazała się w Tomiku, jej autorem jest **Marian Wadas** z Olsztyna.

Basia Korczyńska – autorka listu do „Rzepa", która zaproponowała ogólnopolskie hasło: „Każdy Uprawia Działkę" i tym samym sprowokowała „Rzepa" do zainspirowania fajnego pomysłu – jest laureatką 44 nr „Świata Młodych".

Wszystkim laureatom gratulujemy i prosimy o szybkie nadesłanie pełnych adresów z kodami. Na zwycięzców czekają kolekcje herbów.

PRZEDOLIMPIJSKI TRENING TŁUMACZY

MOSKWA (PAP). W dziesięciu językach powitają olimpijskich gości studenci wydziału tłumaczeń Państwowego Instytutu Pedagogicznego im. M. Thoreza w Moskwie. Około 700 słuchaczy tej uczelni znajdzie się wśród dziesięciu tysięcy tłumaczy, którzy pomogą gościom i gospodarzom przezwyciężać bariery językowe. Studenci przygotowują się według dwóch programów. Pierwszy jest przewidziany dla tłumaczy – przewodników, którzy będą obsługiwać zagranicznych turystów. Drugi przeznaczony jest dla tych, którzy będą pracować bezpośrednio ze sportowcami, dziennikarzami i przedstawicielami federacji sportowych. W późniejszym czasie zostanie wprowadzona wąska specjalizacja tłumaczy w 21 dyscyplinach sportowych. **(kż)**

Fot. Kajetan Adamowski

TEN SAMOLOT czeka na Was!

Czym bliżej do końca naszego serialu prezentującego samoloty LOT-u, tym więcej listów i pytań telefonicznych w sprawie terminu nadsyłania kuponów. Odpowiadamy więc: serial jest nieco dłuższy niż planowaliśmy i zakończy się 5 maja. **OSTATECZNY TERMIN NADSYŁANIA KUPONÓW UPŁYWA WIĘC 12 MAJA br.**

Przypominamy: wśród nadawców kuponów rozlosujemy nagrody LOT-u; między innymi samolot widoczny na zdjęciu!

REDAKCJA

Obok bednarzy garnki lepią

Chciał być technikiem radiowym, nie mieć nic wspólnego z zajęciem dziadka i ojca. I rzeczywiście – radia nie mają dla niego tajemnic. Gdy po postawieniu nowego domu usiadł pewnego dnia na ławce dumny ze swej roboty, grudka gliny sama urosła w rękach w kształt miniaturowego wazonu. Naprawił więc garncarskie koło ojca, zgromadził zapas surowca... I tak to trwa do dzisiaj

C.D. STR. 5

Fot. J. Łopuszyński

Nowe i najnowsze

Taki ekspres!

W NRD wyprodukowano coś dla pań domu (starych kawalerów też!). Jest to praktyczny i ekonomiczny ekspres, którego zalety trudno przecenić. Można w nim parzyć kawę, herbatę, zioła – jednorazowo w ilości od 2–6 filiżanek. Działa podobnie jak żelazko z termostatem, a więc po zaparzeniu napoju wyłącza się, by następnie automatycznie włączyć podgrzewanie utrzymujące stałą temperaturę napoju.

Można więc wyjść np. po zakupy, a po powrocie napić się gorącej herbaty, która na nas czeka. **(jt)**

DZIECI HOLENDERSKIE MAJĄ WŁASNY PARLAMENT

HAGA (PAP). W związku z Międzynarodowym Rokiem Dziecka powołano w Hadze jedyny na świecie parlament dziecięcy. Parlament składa się z 16 członków w wieku od dziewięciu do czternastu lat. Współpracując z holenderską Komisją Narodową do spraw Dzieci będzie on dbał o polepszenie warunków życia najmłodszych obywateli Holandii. Prezydentem komisji został 14-letni Johan Dos Santos. Wygłosił on przemówienie, w którym zwrócił się do deputowanych z prośbą o pisanie łatwym językiem. „Język urzędowy, z jakim spotykamy się na co dzień jest – powiedział – niezrozumiały." **(aw)**

Atrakcje ziemi sieradzkiej

NIE TYLKO DLA PRZYRODNIKÓW

(PAP). Na terenie woj. sieradzkiego znajduje się 8 rezerwatów przyrody zajmujących obszar 172 ha. Do największych należy 99-hektarowy rezerwat Wojsławice z pięknymi okazami jodły oraz stanowiskami kwitnącego bluszczu. Wiele rezerwatów ma charakter naturalny, m. in. rezerwat Nowa Wieś w gminie Złoczew, z lasem mieszanym, odnawiającym się w sposób naturalny. Piękne bory znajdują się w gminach Szadek, Lutomiersk, Łask. Za najcenniejszy uważa się jednak rezerwat „Węże" w okolicy Działoszyna położony na terenie Załęczańskiego Parku Krajobrazowego nad Wartą. Najciekawszym elementem tego rezerwatu jest zespół jaskiń z interesującymi zjawiskami krasowymi. W jaskiniach tych znaleziono szczątki zwierząt sprzed 3 mln lat. **(mat)**

W badmintona, czyli kometkę, można grać wszędzie. Dla tych, którzy chcieliby poznać zasady tej gry, na str. 4 podajemy krótki ich opis

Fot. K. Adamowski

O tym warto wiedzieć

III FORUM AKTYWU HSPS

Drugi dzień Forum rozpoczęło wystąpienie naczelnika ZHP, hm PL Jerzego Wojciechowskiego. Powiedział on o dotychczasowych osiągnięciach Harcerskiej Służby Polsce Socjalistycznej. Długa lista dokonań HSPS zawiera m. in. pracę na wielkich Operacjach: „Bieszczady-40", „Azymut-Huta Katowice", w akcjach chorągwianych, współzawodnictwo warsztatów pracy, organizację czasu wolnego, opracowanie Kodeksu Ucznia i zaawansowane prace nad Statutem Internatu. Naczelnik mówił także o mankamentach jakie występują w obecnej pracy drużyn i szczepów HSPS. Stanowczo za mało popularyzuje się młodzieżowy ruch naukowy i wynalazczy. Ujawniają się w środowisku młodzieży postawy konformistyczne, którym nie zawsze HSPS-owcy umieją się przeciwstawić. Wielu szczepom i drużynom brak jeszcze ofensywności w działaniu, wiary we własne siły, pomysłowości. Naczelnik ZHP przedstawił w zakończeniu kierunki harcerskiego działania w roku jubileuszu 35-lecia Polski Ludowej. Najważniejsza będzie Harcerska Służba Wiśle, która przyniesie nie tylko efekty materialne, ale kształtować będzie postawy harcerzy, zaangażowanie we wspólne sprawy Polaków.

Po referacie rozpoczęła się dyskusja, w której zabrało głos 20 delegatów. Mówili oni o przejawach zła, egoizmu i znieczulicy społecznej, sposobach organizacji pracy na terenie szkoły, sprawach całej młodzieży, które wymagają zastanowienia i podjęcia działań – zarówno harcerzy jak i wszystkich, którzy z młodzieżą pracują.

Uczestnicy III Forum przyjęli deklarację, w której czytamy m. in. „Chcemy żyć godnie, aktywnie, z pożytkiem dla narodu i siebie. Staramy się i będziemy pracować lepiej, wymagać od siebie więcej; więcej i lepiej dzięki wyższym kwalifikacjom, lepszej dyscyplinie, większej aktywności i inicjatywie."

W obradach III Forum uczestniczyli: kierownik wydziału Organizacji Społecznych Sportu i Turystyki KC PZPR – Jerzy Kuberski, przewodniczący Rady Głównej Federacji SZMP, przewodniczący ZG ZSMP – Krzysztof Trębaczkiewicz, przewodniczący ZG SZSP – Stanisław Gabrielski, wiceprzewodniczący RG FSZMP i ZG ZSMP – ppłk. Michał Izdebski, sekretarz ZG TKKŚ – Wiesława Król, dyrektor generalny w Ministerstwie Oświaty i Wychowania – Stanisław Bohdanowicz oraz delegacja leninowskiego Komsomołu z członkiem KC Komsomołu – Walentynem Jermałowem. Po zakończeniu obrad 18-osobowa grupa uczestników „Forum" spotkała się z członkiem Biura Politycznego KC PZPR, ministrem oświaty i wychowania – Józefem Tejchmą.(pas)

AFGANISTAN

Gdzie dolin jest za mało

Góry, góry – niższe, rdzawe wypalone słońcem, wyższe olśniewające bielą wiecznego śniegu. I wszędzie martwa pustka. Tylko w dolinach, gdzie spływająca z góry woda umożliwia życie, widać ludzkie osiedla. I tych właśnie dolin jest za mało. Dolin, w których można ująć wodę w kanały i dać ją ziemi.

80 procent powierzchni kraju to góry, 50 procent na wysokości ponad 2 tysiące metrów, a w Hindukuszu szczyty sięgają do 7,5 tys. metrów. Tylko 12 procent powierzchni stanowią ziemie uprawne, ale 70 proc. z nich jest sztucznie nawadnianych. Bo klimat tu suchy, podzwrotnikowy, a roślinność pustynna i stepowa. Taki jest Afganistan, kraj, którego nie można porównać z żadnym innym, choćby tylko dlatego, że jest najbiedniejszy, a życie w nim najsurowsze. Ponad dwa razy większy od Polski, a żyje w nim około 18 milionów ludzi. Ludzi, których łączy jedynie mahometańska religia, a dzieli dużo, bardzo dużo. Jest to przekładaniec szczepowy różnych narodowości, jak Pasztunowie i Pathanowie – należący do narodu afgańskiego oraz Tadżykowie, Uzbecy, Turkmeni, Chazarowie i inni. Do niedawna, do rewolucji kwietniowej ubiegłego roku, był jeszcze jeden podział: na biednych i bogatych. Na arystokratów, ziemian, przedstawicieli kleru, tych, którzy posiadali nieliczne fabryki i cały handel i takich, którzy mieli tylko parę rąk do ciężkiej pracy. Obok tych wszystkich układów – ale tylko obok, a nie poza nimi – żyło 10 proc. mieszkańców kraju – koczowników, wędrujących hodowców przede wszystkim owiec (6 miejsce na świecie), z których najcenniejsze to karakuły. I choć kochają oni wolność nade wszystko, to owce i ich skóry musieli komuś sprzedawać, a wiele rzeczy kupować. I jeszcze krótka informacja: 75 proc. ludności nie umie czytać ani pisać: łączny nakład prasy Afganistanu liczy 100 tysięcy egzemplarzy.

Jedyna obcojęzyczna gazeta KABUL TIMES zamieszcza codziennie afgańskie przysłowia ludowe. Oto dwa wydrukowane obok siebie jednego dnia: *„Jeśli chcesz coś zrobić dobrze, zrób to sam"* – głosi pierwsze z nich. *„Nikt nie widzi własnych grzechów"* – przestrzega drugie. Obydwa te przysłowia mają oczywiście aktualność ponadczasową, ale nabierają teraz właśnie specjalnego znaczenia. Żeby jednak dojść do wyjaśnienia tej sprawy, musimy cofnąć się w czasie.

Góry, góry, a wśród nich za mało dolin, gdzie człowiek może żyć, bo jest woda i zieleń

Oto Kabul, jedna z niewielu stolic, które można obejść w ciągu jednego dnia. Ma niecałe pół miliona mieszkańców. Szeroka arteria prowadzi z lotniska aż na drugi koniec miasta. Przy niej znajduje się obecny pałac prezydencki, wzniesiony 95 lat temu w stylu przypominającym wszystkie kolonialne rezydencje w krajach, w których panowali Brytyjczycy. Ale nie zabawili długo w Afganistanie. Od 1919 roku kraj jest niepodległy. Ten nieposkromiony naród nie cierpi obcych. Tak było zawsze w przeszłości, tak też zapewne będzie i w przyszłości. Ostatni król, Zahir Szach, został obalony w 1973 roku przez Dauda popieranego przez młodych oficerów. Co było później? Początek końca rządów prezydenta Dauda nastąpił 3 lipca 1977 r., gdy czołowy przywódca lewicy afgańskiej **Muhamed Taraki** spotkał się z jej najbardziej znanym ideologiem **Karmalem Babrakiem** i osiągnął z nim porozumienie w sprawie przywrócenia jedności w radykalnym ruchu lewicowym. Ich „guru" czyli przewodnikiem duchowym w tym przedsięwzięciu, był Amir Chajber, weteran ruchu związkowego. Spotkanie to położyło kres trwającemu od 1967 r. rozłamowi w Ludowo-Demokratycznej Partii Afganistanu. Następnym przełomowym dniem w najnowszych dziejach tego kraju okazał się 17 kwietnia ub. r., kiedy lewica afgańska wstrząśnięta wiadomością o zamordowaniu przez elementy prawicowe jej „guru" Amira Chajbera, postanowiła zorganizować wielką demonstrację protestacyjną. Rząd Dauda odpowiedział na to aresztowaniem czołowych działaczy LDPA i zaczął przygotowania do wielkiej czystki, która miała zniszczyć siły lewicowe. W kilka dni później, 27 kwietnia, radykalni młodzi oficerowie sił powietrznych i wojsk pancernych zorganizowali zbrojny przewrót i po dwóch dniach walk obalili rząd Dauda. Następnie przekazali władzę lewicy.

W ten sposób Afganistan stał się pierwszym krajem Azji Południowej, rządzonym przez siły lewicowo-demokratyczne, które zdecydowane są wyprowadzić ten kraj z zaklętego kręgu zacofania i nędzy. Przygotowuje się nowy plan rozwoju, obejmujący również reformę rolną i walkę z analfabetyzmem. Ale droga będzie długa...

Z jakich powodów, już wiadomo, ale nie są to wszystkie przyczyny trudności. 22 marca br. radio kabulskie podało, że siły bezpieczeństwa państwa i obywatele regionu Herat zwalczyli rebelię wznieconą przez 4-tysięczną grupę kontrrewolucjonistów. Wśród rebeliantów muzułmańskich przeważali osobnicy, którzy weszli na terytorium Afganistanu z zagranicy. Znaleziono przy nich znaczne sumy w walucie amerykańskiej i angielskiej. Odkryto schowki z bronią produkcji amerykańskiej i chińskiej. Stanowi to potwierdzenie oskarżeń o wspieranie kontrrewolucyjnej działalności przez zagranicę. **Hafizullach Amin**, powołany w marcu br. na stanowisko premiera, oświadczył w wywiadzie zamieszczonym w indyjskim dzienniku PATRIOT, że po zwycięstwie ubiegłorocznej rewolucji kwietniowej feudałowie, inne elementy pasożytnicze i wyzyskująca masy część kleru muzułmańskiego utracili swoje przywileje i właśnie dlatego knują oni spiski przeciwko nowym władzom, korzystając z pomocy zagranicy. Stanowczo podkreślił, że rząd szanuje nakazy i mądrość islamu. Lud występuje tylko przeciw tym mullom, którzy zbiegli za granicę i usiłują stamtąd szkodzić. Rada ulemów Afganistanu potępiła jako oszczercze zarzuty przeciwników rewolucji, jakoby władze ludowo-demokratyczne naruszały prawa wierzących. Członek tej rady (teologów muzułmańskich) oświadczył, że: *„Rząd respektuje wartości islamskie, a ludność Afganistanu popiera rewolucyjne reformy prowadzone przez władze". „Afgańczycy* – dodał on – *nie ścierpią żadnych prób siania rozbieżności na tle religijnym".*

Takie jest dziś Afganistanu – spokoju nie ma nadal, choć nie ma i zagrożenia rewolucji. *„Nikt nie widzi własnych grzechów"* – powiada przysłowie. Nie widzą ich zupełnie ci, którzy teraz szkodzą Afganistanowi. A co z drugim przysłowiem z KABUL TIMES – *„Jeśli chcesz coś zrobić dobrze, zrób to sam"*? Premier Amin w wywiadzie udzielonym prasie powiedział tak: *„Wypisaliśmy na naszym sztandarze, że każdy będzie oceniany na podstawie swej pracy i osiągnięć, że każdy będzie wynagradzany według tego, co potrafi. U nas nie będzie już wyzysku."*

I takie jest jutro Afganistanu!

JERZY KOWALKOWSKI

Fot. archiwum

Specjalność afgańskich artystów ludowych – dywany. Słyną one na całym świecie ze wspaniałych barw, wzorów i trwałości

TU, POD TĄ GRUSZKĄ...

Dyskusja przy stole o znaczeniu muzeów, dawnych pamiątek, tradycji, historii rozpoczęła się ni stąd ni zowąd, a właściwie od tego, że Zosia, moja kuzynka, skarżyła się na trudne zasypianie. Ciocia Mania radziła, aby liczyła zielone barany na niebieskiej łące, a sen przyjdzie, murowane. Dlaczego barany miały być zielone, a łąka niebieska, ciocia nie wiedziała. „Po prostu przy takich się szybko zasypia i już, co tu wyjaśniać" – uznała. Stryjek Józio wspominał, że w dzieciństwie jego ojciec, a Zosi dziadek, usypiał go taką opowieścią: „A myśwa stali, chłop w chłopa w wielkich ogromniastych czapach. A tam zza góry, zza górecki, jedzie Napoleon i peda (mówi): Jak się mata (macie) chłopy! A myśwa stali, chłop w chłopa w wielkich ogromniastych czapach, a tam zza góry zza górecki jedzie Napoleon i peda: Jak się mata chłopy! A myśwa..." i tak w kółko aż do skutku, czyli do zaśnięcia.

– Fajna gadka, ale historyczna – powiedziała Zosia. – U nas to wszystko jest historyczne, pamiątkowe, muzealne do znudzenia. Wczoraj nasza „Polcia" zaprowadziła całą klasę do muzeum. To była nuda! „Polcia" rozpływała się w opowieściach w rodzaju: tu, pod tą gruszką, stał Kościuszko; dziewczyny bladły z nudów, a chłopcy zainteresowali się urządzeniem klimatyzacyjnym. Wiecie przecież, że eksponaty muszą mieć odpowiednią temperaturę...

– No i to jest dzisiejsza młodzież – westchnęła ciocia Mania – żadnego szacunku dla tradycji, narodowych pamiątek!

– A cóż to, Maniu, mają się przejmować jakąś tam gruszką, skoro niewiele wiedzą o samym Kościuszce! Gdyby znali tego człowieka nie tylko ze szkolnych podręczników, ale i ze wspomnień, z pamiętników... Pamiętasz, jak Antoś mówił nam o Zygmuncie Starym, Kazimierzu Wielkim – jak o Stasiu Kowalskim. Wiedział na co chorowali, co lubili, z kim się przyjaźnili. Trzeba dobrze znać historię, dużo wiedzieć, aby odczuwać przyjemność z obcowania z dawnymi pamiątkami, aby się nie nudzić w muzeum. W końcu rzeczy, martwe przedmioty tylko taką mają wartość, jaką my przywiązujemy do ludzi, to ludzie ożywiają rzeczy – zapalił się do tematu stryjek Józio, historyk zresztą.

– Może to i racja co stryjek mówi – grzecznie przyznała Zosia – ale czasem trudno uwierzyć, że zachowały się tak bardzo dawne pamiątki i że pióro pisarza sprzed 100 lat jest rzeczywiście jego piórem. Czytałam we wspomnieniach wnuczki Henryka Sienkiewicza taką historię: „Władysław Mickiewicz, syn Adama, ofiarował kiedyś do muzeum w Raperswilu pukiel włosów swego ojca. Po latach zobaczył tenże pukiel z wielkim pietyzmem wystawiony w oszklonej gablocie. Pod spodem widniał napis: „Włosie z ogona konia Kościuszki".

Stryjek Józio ryknął śmiechem, ciocia Mania gwałtownie wycierała nos, a mama Zosi przypomniała sobie, że już późna godzina. W chwilę potem Zosia musiała nas pożegnać i poszła się położyć. Gdy już leżała w łóżku, zajrzał do niej stryjek Józio.

– Stryju, opowiedz mi tę historyjkę na zaśnięcie.

I kiedy już po raz czwarty słuchała: „A myśwa stali, chłop w chłopa..." – pomyślała, jak to dziadek opowiadał ją stryjowi, stryj jej, a ona może wnukom... Zasnęła z poczuciem trwałości, bezpieczeństwa.

Nazajutrz wpadła do mnie rozpromieniona, że otworzyła się jej jakaś klapka w mózgu i że bardzo się cieszy, że mamy tysiącletnie tradycje i w ogóle taką piękną historię.

– Pomyśl tylko – paplała w uniesieniu – tacy Amerykanie to muszą sobie stare wiatraki przywozić z Danii. Oni nic prawdziwie starego nie mają; co to jest 200 lat historii!

I tak nie wiadomo kiedy i gdzie człowiek może zrobić ważne odkrycie – Archimedes w wannie, a Zosia u cioci na imieninach.

BARBARA TYLICKA

Tajemnica orła czeka na odkrywcę

BOLESŁAWIEC (HSI). Izba Pamięci Narodowej bolesławieckiej „Ósemki" zdobyła pierwszą lokatę w woj. jeleniogórskim. Bogactwa zbiorów może jej pozazdrościć niejedno muzeum. Zbiory zajmują cztery pomieszczenia tysiąclatki noszącej imię Bojowników o Wolność i Demokrację. Obejrzeć tu można: kolekcję żołnierskich mundurów (np. tych, w których walczyli marynarze na ORP „Drogoń" zatopionym u brzegów Wielkiej Brytanii), żołnierskie buty, w których chor. rez. Michał Bigosiński doszedł do Berlina szlakiem I Armii WP, siodło partyzanta polskiego walczącego w Jugosławii, zaplombowaną puszkę angielskiego tytoniu spod Monte Cassino i wiele, wiele innych. Najbardziej wstrząsające są pamiątki będące dowodami ludobójstwa. Oryginalne fotografie z obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, szachy zrobione w tym obozie ze starych gazet i gliniastego chleba, literka „P" z ubrania Polaka przebywającego na robotach przymusowych itp.

Chlubą szkoły jest Sala Białych Orłów z kolekcją 10 historycznych sztandarów. To również miejsce uroczystych zbiórek, przyrzeczeń harcerskich, spotkań z ciekawymi ludźmi. Tu odbywają się lekcje historii i wychowania obywatelskiego.

W Sali Białych Orłów kryje się nierozwiązana zagadka odlanego w metalu orła. Przyniósł go niedawno do szkoły Jurek Słaboń jako podarunek od dziadka. Długie lata godło to wisiało na budynku instytucji państwowej w Raciborowicach. Nieznany jest rodowód takiego właśnie kształtu orła, nie wiadomo kto i kiedy go wykonał. Zagadka pasjonuje wszystkich: harcerze przygotowują już wyprawę na wieś. Przeprowadzą rozmowy z żyjącymi jeszcze kronikarzami historycznych wydarzeń, zarejestrują ich wspomnienia. Kto wie, jakie jeszcze skarby przybędą do szkolnej Izby Pamięci Narodowej „Ósemki". Kryptonim wyprawy – „Biały Orzeł" – zapowiada pasjonującą przygodę...

PAWEŁ ŚLIWKO

Gdy były wreszcie gokarty, wszystko zaczęło walić się na głowę

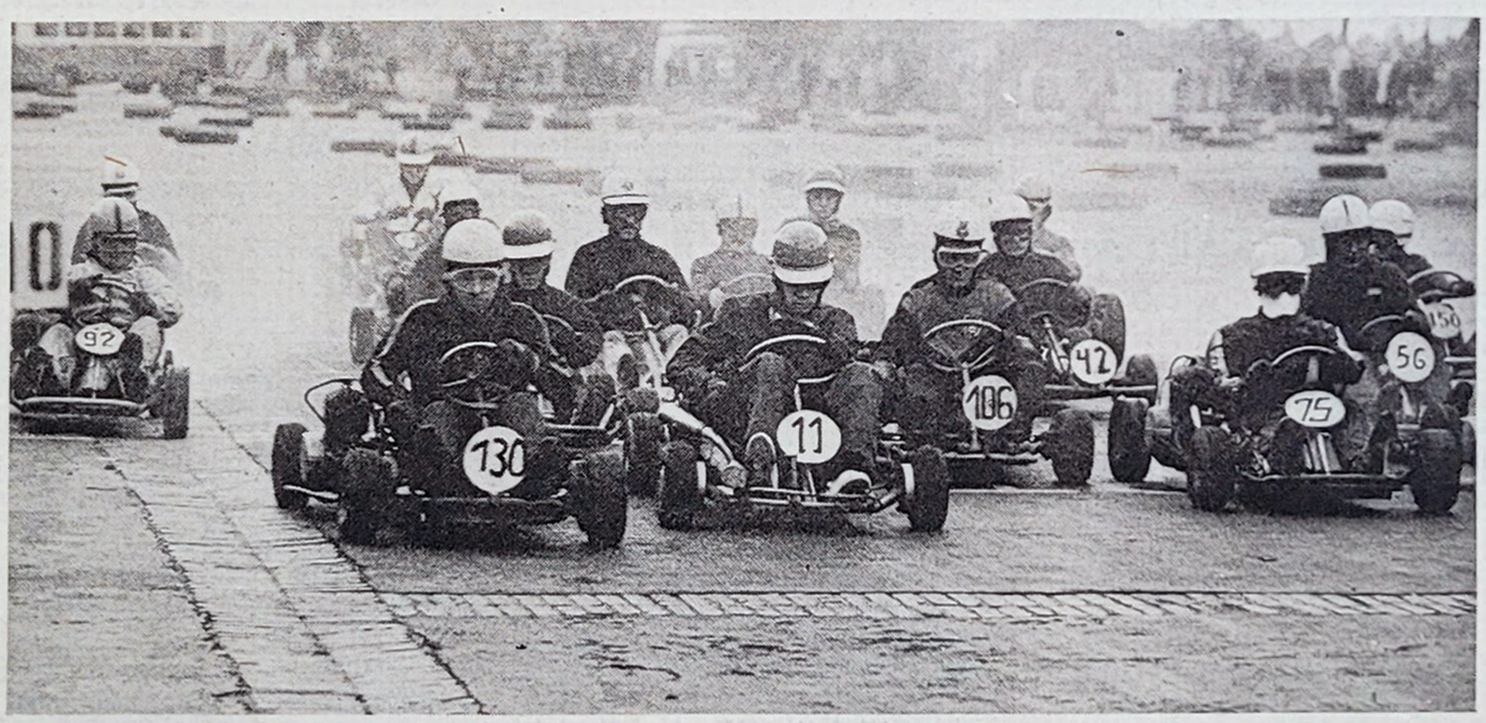

MAŁY POJAZD, ALE FRAJDA WIELKA

Niewielkie pomieszczenie w suterenie budynku szkolnego. Na półkach równo poukładane narzędzia, młotki, kombinerki, różnego rodzaju klucze i jeszcze wiele innych skarbów z torby mechanika samochodowego. Porządek jak w najlepszej firmie autoserwisowej. Na środku sali, na specjalnych stołach, stoją gokarty. Właśnie tu, w niewielkim pomieszczeniu, dwa razy w tygodniu spotykają się członkowie klubu HSPS. I przez te dwa dni po południu, w każdym zakamarku szkoły słychać, z konieczności zresztą, głośne rozmowy i ogromny warkot silników. Ale szum i hałas nie przeszkadzają nikomu. Ani dyrektorowi ani też panu woźnemu, którzy z dumą informują, że właśnie odbywa się zbiórka, że tu działa klub gokartowy prowadzony przez harcerzy.

Wokół żelaznych stołów w skupieniu pracują chłopcy w granatowych kombinezonach, bo roboty przy gokartach nigdy nie brakuje.

– No, nareszcie zrobiłem porządek z tymi hamulcami – to Włodek, jeden z najstarszych członków klubu. – Jeszcze został mi tylko układ kierowniczy. A jak tobie leci? – zwraca się do kolegi, mocującego świeżo pomalowaną ramę. – Myślę, że zdążymy ze wszystkim przed rozpoczęciem sezonu.

Klub HSPS o specjalności gokarty, działający przy Zespole Szkół Samochodowych w Lublinie, powstał w 1975 r., kiedy to opiekunem klubu został były żużlowiec i motocrosista, druh Andrzej Perczyński. Po ogłoszeniu w szkole, że właśnie powstał taki klub chętnych znalazło się sporo, ale... Właściwie oprócz harcerzy i ich marzeń o „kartach" nie było nic, ani pojazdów, ani pomieszczenia na ich przechowywanie i konserwację. Ktoś mógłby powiedzieć, że klub istnieje tylko na papierku i w marzeniach. Ale to nie była prawda.

Na początku swojej działalności członkowie klubu spotykali się w sali lekcyjnej, gdzie poznawali budowę, rodzaje i zasady działania gokartów. Spotykali się również w sali gimnastycznej i przez kilka godzin w miesiącu ćwiczyli swoją szybkość, zręczność; refleks – konieczne do uprawiania tego sportu. Ot, była to sucha zaprawa sportowa – mówią dzisiaj. Ale wówczas denerwowała ich ta cała zabawa. Niektórzy zrezygnowali, bo jak mówili „bujanie w obłokach ich nie bawi, a tym bardziej zabawy w spodenkach gimnastycznych".

– W połowie 1976 roku zdobyliśmy pierwszy pojazd kartowy, tzn. polkart – mówi Włodek. – Nie jest on tak nowoczesny jak gokarty typ „KP-2" o hydrauliczno-tarczowych hamulcach, ale dla nas była to i tak ogromna radość i wielka nadzieja, że nareszcie mamy własny pojazd i że na pewno zrobi on dobry początek. Kiedy rozpoczęliśmy treningi na polkarcie, okazało się, że sucha zaprawa była bardzo pomocna, chociaż tak bardzo nie lubiliśmy tych zabaw gimnastycznych.

W 1977 roku członkowie klubu otrzymali od Ministerstwa Oświaty i Wychowania dwa gokarty, w rok później Zarząd Główny Polskiego Związku Motorowego przydzielił klubowi cztery gokarty i szkoła zakupiła również cztery.

Wtedy wydawało im się, że już wszystko osiągnęli, że wystarczy teraz usiąść w wygodnej pozycji za kierownicą i ruszyć przed siebie; że nareszcie są prawdziwymi gokartowcami. Ale przyszły nowe kłopoty – brak pomieszczenia, w którym mogliby sami konserwować, naprawiać sprzęt i garażu dla dobrych, gotowych w każdej chwili do jazdy minipojazdów. No i sprawa najważniejsza i jednocześnie najtrudniejsza – trzeba mieć licencję kartingową, bo tylko wtedy można startować w zawodach i zdobywać sukcesy. A przecież o tym też marzyli.

– Wszystko zaczęło nam się walić na głowę. Wszystko robiliśmy prawie w tym samym czasie, ale innego wyjścia nie było – wspomina Włodek. – Dzięki przychylności dyrektora szkoły, pana Józefa Sochy, otrzymaliśmy salę w suterenie. Pomalowaliśmy ją sami, zrobiliśmy półki i skrzynki na narzędzia. Jednocześnie z remontem pomieszczenia zdobywaliśmy licencję i przeprowadziliśmy przegląd techniczny gokartów, bo zawody były coraz bliższe, a my oczywiście koniecznie chcieliśmy startować. Nieużywane pojazdy rdzewieją!

Na pierwszy w życiu start na torze kartingowym pojechali prawie wszyscy członkowie klubu, chociaż tylko dziesięciu chłopców mogło startować. Ale przeżywali to nie tylko zawodnicy, lecz także ich koledzy pełniący rolę mechaników. Od nich przecież w największym stopniu zależała sprawność pojazdu, a każda chociażby drobna usterka, to koniec marzeń o sukcesie.

– Mój pierwszy start był i udany i pechowy zarazem – opowiada Włodek. – Dwa pierwsze biegi były szczęśliwe. Byłem prawie bliski zwycięstwa... W trzecim biegu, kilkadziesiąt metrów przed metą, urwała mi się kierownica, no i z drugiej pozycji spadłem na piątą. Ale i tak miałem szczęście, że w pobliżu nie było żadnej przeszkody, tylko ogromna trawa – a przyznaję, że na moment straciłem głowę. Pierwszy start i taki pech...

Dzisiaj klub liczy 25 członków, dziesięciu posiada licencję, inni dopiero ją zdobywają. Klub jest otwarty dla wszystkich. Każdy może do niego należeć. Ale jest jeden warunek: instruktor Andrzej Perczyński przyjmuje do klubu tylko dobrych uczniów, bo – jak twierdzi – wyjazdy na zawody i treningi pochłaniają dużo czasu i nie każdy pracę w klubie godzi z nauką, a niektórym czasami się w głowie poprzewraca od tych kartingów i naukę odsuwają na bok.

Klub HSPS przy ZSS ma w swojej zaledwie rocznej działalności sportowej kilka sukcesów. W 1978 roku harcerze zdobyli tytuł drugiego Wicemistrza Regionu i pierwszego Wicemistrza Kartingowego Polski. Klub jest także członkiem nadzwyczajnym PZMot w Lublinie. Kilku byłych członków klubu, obecnie studentów Politechniki Lubelskiej, posiada kategorię wyścigową i często przychodzą na zbiórki pomagać młodszym kolegom.

Do pierwszych tegorocznych zawodów kartingowych pozostało jeszcze trzy miesiące, ale jak twierdzą harcerze, tego czasu nigdy nie jest za dużo. Kartingi muszą być wyremontowane na piątkę, remont Nysy do przewożenia pojazdów też zajmie kilka tygodni. A do tego chcą jeszcze popracować przy budowie pierwszego toru kartingowego w Lublinie, bo treningi na dziko nie zawsze dają zadowalające wyniki.

DANUTA ZIELIŃSKA
Fot. **CAF**

REDAKCYJNA POCZTA

Polecam zastępowym...

Nasz zastęp postanowił zorganizować wieczór dla II klas. Od razu wzięłyśmy się za pracę. Wypożyczyłam książki, które zawierają wesołe inscenizacje i wiersze. Wspólnie z dziewczętami przygotowałyśmy program. Druhna Szczepowa widząc naszą pracę, podsunęła propozycję pokazania programu na apelu, aby wszyscy uczniowie mogli go usłyszeć. Chcę polecić zastępowym, którzy mają przygotować program dla młodszych klas książkę pt. „Kiermasz rozmaitości". Książka ta zawiera wiersze, inscenizacje, monologi itp.

Dorota

Pomagamy słabszym

Chodzę do szkoły podstawowej w Płakowicach. Z nauką radzę sobie dobrze. Gdy tylko przychodzę ze szkoły, odrabiam zadane lekcje, a następnie czytam poszczególne tematy (które już przerabialiśmy), aby sobie ułatwić przyszłą powtórkę. Opiekuję się przy tym dwoma kolegami, którzy nie mogą dać sobie rady z nauką. Przychodzą do mnie co drugi dzień. Czytam im trudniejsze zadania, tłumaczę, a następnie proszę ich, by mi o tych lekcjach opowiedzieli. Inni uczniowie z naszej klasy również pomagają słabszym kolegom. Namówiła nas do tego nasza pani na lekcji wychowawczej. Zachęcam Was, czytelnicy „Świata Młodych" ubolewający nad słabymi wynikami w Waszej klasie – zorganizujcie taką koleżeńską pomoc.

Marek Łoptos

Nina Szaga, ul. Zegrzyńska 29/59, 05-120 Legionowo (8 kl.) interesuje się chemią, literaturą, zbiera maskotki i pocztówki trójwymiarowe. Pragnie nawiązać korespondencję z rówieśnikami.

Droga redakcjo, jesteś... życiowa!

Protestujemy przeciw opinii Bethy i Andżeliki z 36 nr „Świata Młodych". Po pierwsze – uważamy, że one nie mają prawa podpisywać się „w imieniu MŁODYCH" pod tak idiotycznym listem. Po drugie – chyba **one same** nie potrafią nawiązać kontaktu ze swoimi rodzicami i niesłusznie zarzucają redakcji „Świata Młodych" nieżyciowość. Nie wszyscy rodzice są konserwatywni, a większość z nich ma poglądy współczesne. Jak mogą, starają się dostosować i zrozumieć nastolatków.

Rady redakcji są mądre, chociaż nie zawsze da się je zrealizować, niestety często z naszej winy. Uważamy, że Bethy i Andżelika powinny przeprosić redakcję, a my czekamy na opinię reszty czytelników „ŚM".

Małgorzata i Piotr

Ja naprawdę nie palę

Alę znam 3 lata, a 2 miesiące chodzimy ze sobą na serio. Pewnego razu kolega zaprosił nas na prywatkę. Właśnie u niego zapaliłem papierosa. Alka nie pali i gdy zobaczyła u mnie papierosa, oburzyła się ogromnie. Od tamtej pory w ogóle się do mnie nie odzywa. Jeden papieros nie jest dowodem, że cały czas palę. Wydrukujcie mój list, może Alka zrozumie, że zapaliłem ot tak sobie, i wróci do mnie.

Darek

POŻERACZ OKRĘTÓW

Na oceanach i morzach świata jest wiele niebezpiecznych miejsc dla żeglugi, miejsc, które cieszą się złą sławą wśród marynarzy. Do nich należą m. in. wody kanału La Manche. Silne prądy morskie i północnozachodnie sztormy, gęste mgły i przybrzeżne podwodne skały oraz mielizny były przyczyną licznych katastrof morskich. Ponadto żeglugę w tym rejonie utrudnia bardzo duży ruch statków morskich, który należy do największych na świecie.

Od wieków kanał La Manche jest uważany za olbrzymie „cmentarzysko okrętów". Na jego dnie leżą wraki dziesiątków tysięcy statków. Szczególnie niebezpiecznymi miejscami kanału są: rejon Wysp Scilly, skaliste brzegi Kornwalii, przylądki Lizard i Land's End. Do tej pory w niektórych rejonach kanału La Manche sterczą z wody maszty i kominy zatopionych statków, ale szczególnie dużo znajduje się ich w rejonie mielizny Goodwin.

ZDRADZIECKA MIELIZNA

Mielizna Goodwin jest położona w odległości kilku mil na północny wschód od portu Dover, nieco poniżej ujścia Tamizy. W czasie przypływu przykrywa ją trzymetrowa warstwa wody, a podczas odpływu wynurza się z morza wąska i długa na jedenaście mil wyspa piasku morskiego, która pod wpływem prądu morskiego często zmienia swoje ukształtowanie.

Według zdania znanego angielskiego geologa, Charles Lahalla, przed kilku tysiącami lat na miejscu mielizny Goodwin znajdowała się wyspa. To samo głosi wiele legend angielskich. Jedna z nich mówi, że w starożytności na tym miejscu była bardzo ładna i żyzna wyspa pod nazwą Lomea, która należała do barona Goodwina. Za ciężkie grzechy „Bóg ukarał" barona, a wyspa pogrążyła się w morze i na jej miejscu powstała ogromna mielizna.

Angielscy marynarze dali jej nazwę „pożeracz okrętów". W grząskich piaskach mielizny leżą galery rzymskie Juliusza Cezara, który ze swym wojskiem lądował w rejonie miasta Dil i zajął Brytanię. Tam także spoczywają wojenne łodzie Normanów, galeony Niezwyciężonej Armady, brygantyny piratów, angielskie fregaty oraz nowoczesne pasażerskie i handlowe statki pełnomorskie. Mielizna Goodwin nie liczy się ani z czasem, ani z wielkością i ważnością statków.

Na niej, nocą 26 listopada 1708 roku zginęła angielska eskadra wojenna pod dowództwem admirała Beaumonta. Trzynaście wyborowych okrętów wojennych stojących na redzie portu Dil zerwało się z kotwic w czasie huraganowego sztormu i osiadło na mieliźnie. Z trzech tysięcy marynarzy uratowało się zaledwie osiemdziesięciu.

Przez długie wieki mielizna Goodwin nie była poznana i oznakowana. W czasie gęstej mgły osiadały na niej okręty, które zabłądziły. Jeżeli w krótkim czasie przypływu wielkiej wody nie udało się statkowi zejść z mielizny, był stracony. Przypływy morza coraz bardziej zamulały sterczący na mieliźnie bezwładny statek, którego w żaden sposób nie udawało się ściągnąć. Gdy statek wszedł na mieliznę w czasie sztormu, jego tragiczny los rozstrzygał się jeszcze szybciej. Potężne fale przewracały go na burtę, zalewały i rozbijały. Tak właśnie zginą w listopadzie 1802 roku holenderski żaglowiec „Frigeld", a wraz z nim 454 członków załogi i pasażerów. A w roku 1805 – angielski transportowiec „Aurora" z 300 ludźmi na pokładzie.

PRÓBA OBRONY

Dopiero w końcu ubiegłego wieku oznakowano „pożeracza okrętów". Mieliznę ogrodzono kilkunastu bojami, a na północy, wschodzie i południu zakotwiczono trzy pływające statki-latarniowce. Jednak i to nie uchroniło statków przed straszliwą mielizną.

Szczególnie dużo okrętów pochłonęła ona w czasie II wojny światowej, gdy rejon żeglugi w kanale La Manche i na Morzu Północnym ograniczony był stawianymi tam zagrodami minowymi. Do dziś mielizna pożera swe ofiary. Tylko w jednym roku 1946 mielizna Goodwin pochłonęła dwanaście statków handlowych. Powodem była zbytnia wiara ich kapitanów w posiadane umiejętności żeglarskie. Wielu z nich idąc z Oceanu Atlantyckiego do Londynu, starało się skrócić sobie drogę o prawie dwie godziny, przechodząc pomiędzy wybrzeżem Anglii a mielizną Goodwin. Szczególnymi śmiałkami byli kapitanowie amerykańscy, uważający ten rejon wód za całkowicie bezpieczny. W wyniku tego z dwunastu statków osiadłych na mieliźnie w roku 1946 – pięć było amerykańskich. Jeden z nich „Helena Modrzejewska", dziesięciotysięcznik typu „Liberty" idąc w dniu 12 września 1946 z portu Dil do Bremenhafen osiadł na południowym skraju mielizny. Po czterech dniach, gdy osiem holowników zaczęło ściągać go z mielizny, w kadłubie nastąpiło pęknięcie i statek przełamał się na pół. Wartość straconego ładunku oceniano na sumę 850 tysięcy funtów szterlingów, a kapitan statku w obawie przed odpowiedzialnością zastrzelił się.

Przełamanie statku – to ostateczny los prawie każdego z nich, którego od razu nie ściągnie się z mielizny. Dzieje się to na skutek praw działania jej piasków. Przypływ nanosi piasek pod środkową część statku, a odpływ podmywa go spod dziobu i rufy. W końcu rufa i dziób nie mając oparcia zwisają, co powoduje przełamanie statku.

POCHŁONĘŁA RÓWNIEŻ I SWEGO STRAŻNIKA

Zimą 1955 roku opinię publiczną Anglii wstrząsnęła tragiczna wiadomość, że „pożeracz okrętów" pochłonął kolejną ofiarę, swego dozorcę – pływającego latarniowca „South Goodwin", który przez wiele lat ostrzegał przechodzące statki o grożącym im niebezpieczeństwie. Otóż nocą 26 listopada szalejący na kanale La Manche straszliwy sztorm zerwał z kotwic mocny 400-tonowy latarniowiec i rzucił go na odległą o kilka mil łachę mielizny. W czasie rozwiniętej akcji ratowniczej zdołano uratować tylko jednego członka załogi; zooloqa, dokonującego obserwacji przelotów ptaków. Pozostało tajemnicą, dlaczego z latarniowca nie nadano sygnału „SOS" i dlaczego nie rzucono zapasowej kotwicy. Wyratowany zoolog nie zdołał tego wytłumaczyć.

Nie wiadomo dokładnie, ile statków zginęło na mieliźnie Goodwin, w każdym bądź razie bardzo dużo. Na mieliźnie w tym czasie straciło życie około pięćdziesięciu tysięcy ludzi.

TADEUSZ RUTKOWSKI

Fot. archiwum

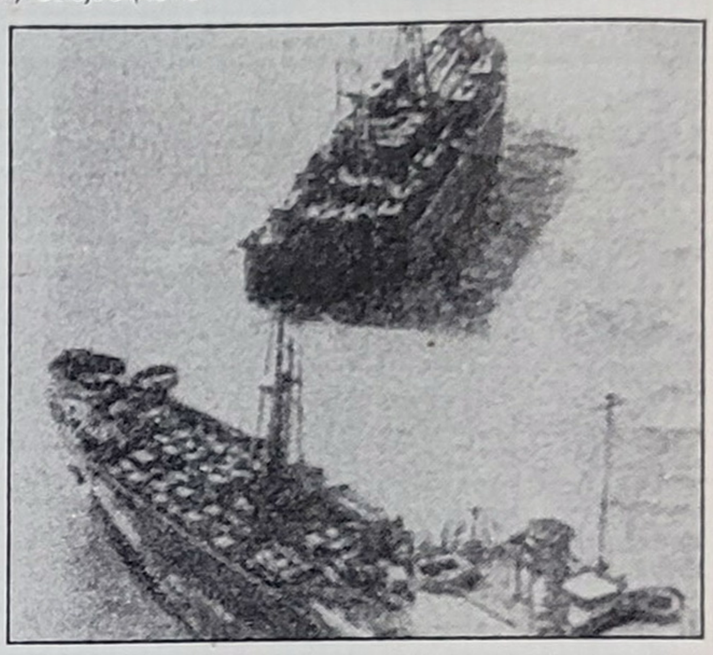

Przełamany kadłub statku „Helena Modrzejewska" na mieliźnie Goodwin

MIEĆ PRZYJACIÓŁ W ŚWIECIE...

CZSP CENTRALNY ZWIĄZEK SPÓŁDZIELCZOŚCI PRACY

Coraz liczniej organizowane w okresie lata międzynarodowe obozy i kolonie są okazją do poznania kolegów ze wszystkich prawie kontynentów. Wymieniamy adresy, obiecujemy korespondować, ale... natrafiamy na barierę nie do przebycia. Nie ma przy nas tłumacza, który pomagałby nam w rozmowach, a sami nie potrafimy napisać nawet kilku słów pozdrowień w języku, który zna nasz nowy przyjaciel. Nie znamy języków obcych.

Krajowa Spółdzielnia Pracy „Lingwista – Oświata" prowadzi wszechstronną działalność w zakresie nauczania języków obcych.

- **Organizuje kursy na poziomie:**
  - podstawowym,
  - średnio zaawansowanym i zaawansowanym,
  - kursy konwersacyjne.
- **Stosuje różne systemy nauczania:**
  - bardzo intensywne, audiowizualne kursy dla wyjeżdżających za granicę,
  - intensywne kursy w laboratoriach kabinowych,
  - tradycyjne, w oparciu o najnowocześniejsze podręczniki.
- **Prowadzi swoje kursy:**
  - w przedszkolach, szkołach
  - w Ośrodkach Nauczania Języków Obcych

w systemie kursów stacjonarnych, sobotnio-niedzielnych, zaocznych,
  - na sezonowych wczasach i koloniach językowych.

Wszystkim słuchaczom Spółdzielnia zapewnia pomoce naukowe i podręczniki.

Szczegółowych informacji udzielają oraz zapisy przyjmują Okręgowe Oddziały KSP „Lingwista – Oświata" zlokalizowane w większych miastach na terenie kraju.

K-83/1

usługi

SPORT I REKREACJA

GRAMY W BADMINTONA

Ta wspaniała gra – zarówno dla dzieci jak i starszych – liczy sobie już 107 lat. Po raz pierwszy zademonstrowano ją i zaproponowano przepisy w 1872 roku w angielskiej miejscowości Badminton. Natychmiast znalazła wielu zwolenników i wkrótce stała się dyscypliną sportową i w wielu krajach konkuruje dziś z najpopularniejszymi grami i dyscyplinami. Od kilkunastu lat rozgrywane są badmintonowe mistrzostwa Europy, a od dwóch również mistrzostwa świata.

W Polsce badminton, jako wyczynowa dyscyplina sportu, nie ma jeszcze tradycji. Trafił on do nas w 1957 roku, a więc stosunkowo niedawno i jako forma zabawy rekreacyjnej, chętnie uprawianej na obozach, koloniach i wczasach pracowniczych. Dopiero w dwadzieścia lat później grę tę podniesiono do rangi wyczynu, czyli dyscypliny sportu. Utworzono też Polski Związek Badmintona, który jest członkiem Europejskiej Unii i Międzynarodowej Federacji Badmintona.

Nadanie badmintonowi rangi dyscypliny sportu w niczym nie umniejsza roli popularnej już u nas zabawy rekreacyjnej. Wiadomo przecież, iż wyczyn ma swoje źródło w powszechności sportu. A badminton ma ogromne szanse stać się sportem masowym, uprawianym szczególnie przez młodzież.

Przepisy gry są dość zawiłe, podajemy więc je w pewnym uproszczeniu. Gra ta nie traci jednak przez to na atrakcyjności i walorach sportowych. A tych, którzy w badmintona zechcą grać wyczynowo, zachęcamy do udziału w mistrzostwach Polski, organizowanych przez PZBad.

W badmintona można grać niemal wszędzie: na korcie tenisowym, boisku do siatkówki, polanie lub placyku o wymiarach 13,4 m długości i 6,1 m szerokości. W zależności od warunków i wieku zawodników wymiary boiska można odpowiednio zmniejszyć. Zamiast siatki można też zawiesić między słupkami lub stojakami do skoku wzwyż (lub drzewami), zwykły sznurek na wysokości 155 cm.

ZASADY GRY

- Można grać pojedynczo lub parami (jak w tenisa). Dziewczęta grają do 11 punktów, a chłopcy do 15. Gra trwa do dwóch wygranych setów, chyba że grający umówią się inaczej. Po każdym secie następuje zmiana pól.
- Zagrywkę wykonuje się na zmianę, raz z prawej, raz z lewej połowy boiska, z linii nie bliższej niż 2 m od siatki. Zagrywa się z prawej strony przy parzystej liczbie punktów, z lewej przy nieparzystej liczbie zdobytych punktów i zawsze na pole leżące po przekątnej. Przeciwnik także ustawia się zawsze na polu, na które skierowana jest zagrywka.
- Lotka pozostaje w grze do momentu popełnienia błędu przez któregoś z grających. Za błędy uważa się: uderzenie przy zagrywce lotki znajdującej się powyżej pasa; upadek lotki poza polem przeciwnika; przekroczenie przy zagrywce pola podań; oderwanie stóp od podłoża w czasie zagrywki; upadek lotki poza granice boiska, utknięcie lotki w siatce, przejście lotki pod siatką lub z boku siatki; dotknięcie lotki czymkolwiek innym niż rakietką; uderzenie lotki poza siatką nad polem przeciwnika; dotknięcie siatki, słupków, podpórek, gdy lotka jest w grze; podwójne uderzenie lotki przez tego samego zawodnika.
- Punkty zdobywa się tak jak w siatkówce, tylko z zagrywki, tzn. jeżeli zagrywający popełnił błąd, jego przeciwnik nie zdobywa punktu, a tylko prawo zagrywki.
- W grze podwójnej zagrywkę wykonuje się kolejno, raz z prawej, raz z lewej, do momentu utraty zagrywki. Nie obowiązuje zasada przebijania lotki na przemian przez zawodników jednej strony. Po wykonaniu zagrywki zawodnicy poruszają się swobodnie w obrębie swego pola.

Zainteresowanym grą w badmintona podajemy, iż koszt rakietki i lotki (razem) wynosi 113,50 zł i można je nabyć w każdym sklepie sportowym oraz w sklepach CSH. A przygotowanie boiska też nie sprawia wiele kłopotu. Życzymy więc dobrej zabawy!

RYSZARD RATAJCZYK

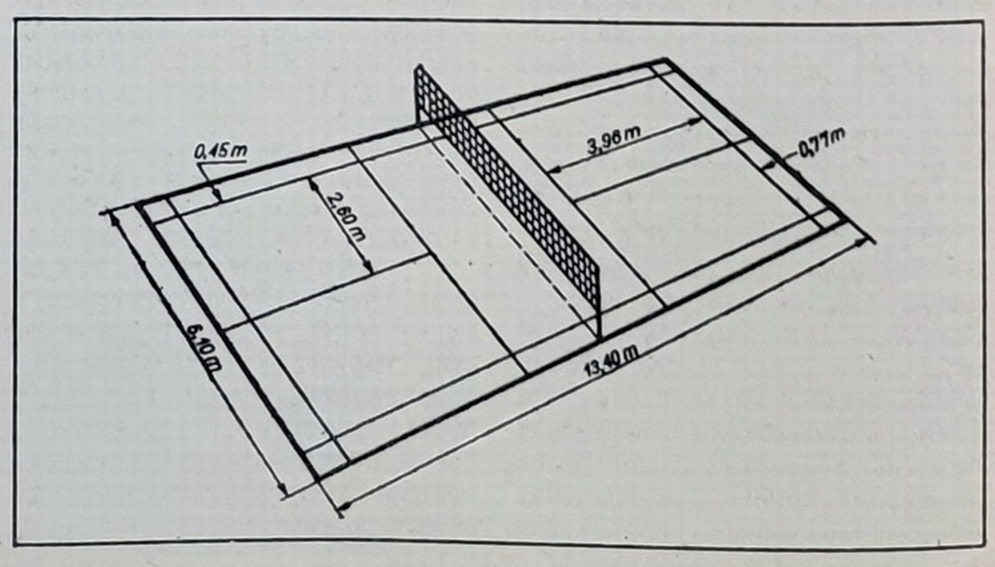

motywy

PYTAJĄ CZYTELNIKÓW „ŚWIATA MŁODYCH"

Jaki jest Twój wychowawca, Twój drużynowy?

„Motywy" – to tygodnik instruktorów harcerskich, Twojego drużynowego. Piszemy w nim o dobrej i złej pracy drużyn harcerskich, radzimy, co robić, aby praca była ciekawa, a harcerze z przyjemnością przychodzili na zbiórki.

Pierwszego czerwca, na Międzynarodowy Dzień Dziecka postanowiliśmy wydrukować listy harcerzy i uczniów o ich drużynowych lub wychowawcach. **Mamy więc prośbę do Ciebie: napisz do nas o tym, jaki jest Twój wychowawca, drużynowy lub opiekun Waszej grupy podwórkowej?**

Za co go lubisz i w czym chciałbyś naśladować? A co Ci się nie podoba w jego postępowaniu? Czy jest rzeczywiście Twoim przyjacielem. A przyjaciel – wiadomo, umie sam przyznać się do pomyłki, ale też ostro skrytykować – jeśli nie podoba mu się czyjeś postępowanie. Ważne – aby był sprawiedliwy.

Więc, jaki jest Twój wychowawca?

Pisz, podając konkretne przykłady, dokładnie i szczerze. Najciekawsze listy zostaną wydrukowane w „Motywach", a ich autorzy otrzymają wartościowe książki i albumy.

Jeśli tego zechcesz – Twoja korespondencja zostanie podpisana tylko inicjałami, a imię i nazwisko pozostanie tajemnicą redakcji.

Listy możesz wysłać do redakcji „Świata Młodych" lub do „Motywów", adresując: Warszawa, ul. Wiejska 17, kod 00-480.

Na kopercie napisz hasło: **„Mój wychowawca"**. Termin nadsyłania odpowiedzi mija **16 maja 1979 r.**

KONKURS DZIECIĘCY NA PLAKAT „KOCHAM MOJĄ MAMĘ" ROZSTRZYGNIĘTY

KRAKÓW (PAP). 408 prac dzieci z 56 przedszkoli i 8 ognisk przedszkolnych napłynęło na konkurs „Kocham moją mamę" ogłoszony z okazji Międzynarodowego Roku Dziecka przez Krajową Agencję Wydawniczą, Kuratorium Oświaty i Wychowania w Krakowie oraz redakcję „Gazety Południowej". Jury konkursu postanowiło przyjąć do druku plakat rysunek 7-letniej Basi Kaczor z Przedszkola nr 138. Ponadto nagrody otrzymali: Iza Sasorska, lat 7 i Dorotka Kowalewska, lat 6 z Przedszkola nr 76, Kasia Sewerska, lat 7 i Kasia Osińska, lat 5 z Przedszkola nr 38 oraz wielu innych. **(aw)**

● Od radiotechniki do... garncarstwa
● Cztery metry beczki w jednym kawałku

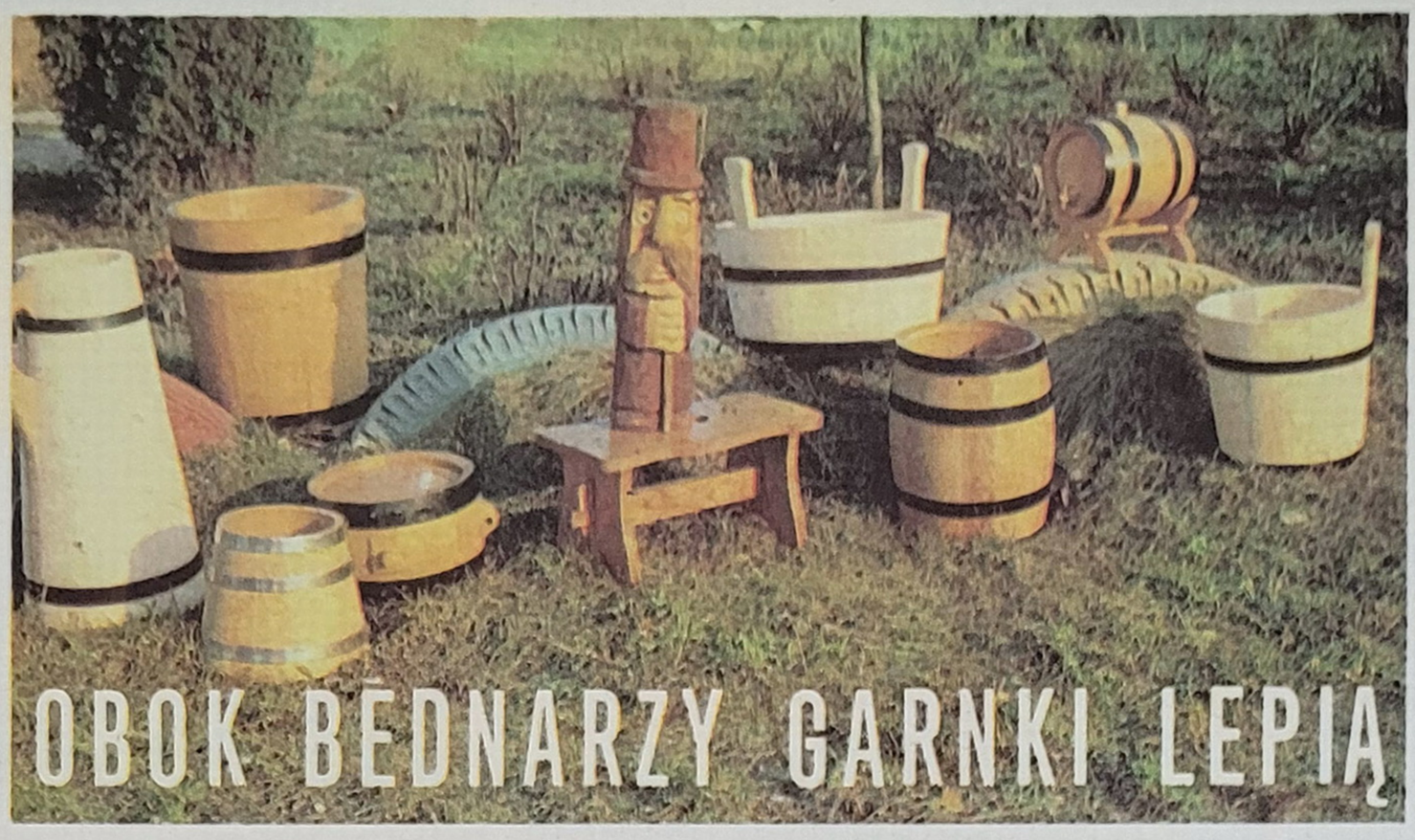

OBOK BEDNARZY GARNKI LEPIĄ

Spółdzielnię odnaleźliśmy bez trudu. Pawłów koło Rejowca Fabrycznego, choć rozciągnięty, trzyma się drogi i wszystko z niej można zobaczyć, co jest w części przemysłowej. Stoi więc „Pawłowianka" za zwykłą siatką, obok sterty drewna do wyrobu beczek i regionalnych wazonów, żółty pies-wartownik i żółty „maluch". O czwartej po południu ruch niewielki, większość prac wykonano na pierwszej zmianie, baraki trochę senne. Dozorca przy bramie tłumaczy, że zanim rozpalą piec i wypalą wszystkie gliniane doniczki, trzeba będzie jeszcze poczekać, ruch tylko przy produkcji beczek, tych dużych, 185-litrowych. A tam wolałby nas wpuścić, jak wróci prezes. To niedługo, musi przecież zabrać samochód. Co możemy zobaczyć na razie? Najlepiej tych, co produkują siwaki u siebie w domu, na tradycyjnych warsztatach. Da nazwiska i adresy, nie ma problemu, przecież tą robotą zajmuje się prawie cała wieś. Jak trzydzieści lat temu. A nawet jeszcze wcześniej. A z tym przemysłem nie trzeba przesadzać – o, kilka automatów stolarskich, aby ułatwić pracę rąk, ale jej całkiem nie zastąpią. Wtedy nie mogłoby być „Cepelii"...

* * *

Zenon Żołnacz mieszka niedaleko, w domu, który można by nazwać „nowym", gdyby otoczenia nie psuł nieco widok resztek starych zabudowań. To zresztą specyfika całego regionu – do starych, malowanych na niebiesko chałup przyklejone solidnie murowane domy o współczesnej architekturze. Co tu jest przybudówką? – To większe, z białej cegły – powie dumny z wrażenia gospodarz. – Ale żal było niszczyć od ręki kąty, do których przecież się człowiek przyzwyczaił. Na razie jeszcze się przydają: choćby na warsztat.

Warsztat nie jest zbyt przestronny, ot, tyle by pomieścić wszystko, co najpotrzebniejsze. Miejsce na przygotowaną glinę, ława na gotowe wyroby. I oczywiście najważniejsze: koło garncarskie. Dziś nie ma już innych, jak napędzane silnikiem elektrycznym. – Czas leci – powiada pan Żołnacz – i tylko niewiele osób pamięta garncarza z Pawłowa tak zawziętego na robotę, że w drewnianej belce wprawiającej w ruch koło bez silnika wydeptał dziurę głęboką na parę centymetrów. Teraz wystarczy wtyczka, kontakt – i kręci się. Reszta zależy od wprawy.

W bezkształtnej masie ręka garncarza żłobi najpierw niewielki otwór. Gliną ożywa – rośnie w górę i na boki. Z każdym obrotem koła kształt przyszłego wazonu staje się coraz jaśniejszy. Dziesięć centymetrów, dwadzieścia, czterdzieści. I jeszcze węższe zakończenie. Surowy siwak, na razie bez charakterystycznej stalowej barwy, jak baletnica traci rozpęd, staje. Czekają go jeszcze dwie operacje – zdobienia, to u pani Żołnaczowej, i wypalanie w piecu. Jeden na dziesięć pęka, kruszy się. Liczy się czas wysychania i użyty do wyrobu surowiec. Coraz trudniej o dobry.

* * *

Prezes Henryk Kubiak: – Spółdzielnia, którą teraz kieruję, powstała w 1951 roku z połączenia dwóch mniejszych, garncarskiej i bednarskiej. Istniały na tym terenie od okresu międzywojennego. Stąd „robimy", jak to się powiada, zarówno w glinie, jak i drewnie. I rozprowadzamy wyroby indywidualnych producentów. Odbiorcą jest oczywiście „Cepelia", w mniejszej części przemysł spożywczy. Idzie głównie o duże beczki. Bo te mniejsze, dwu- i pięciolitrowe, zdobią wiele mieszkań prywatnych. Gdzie je można kupić? Nawet w Szczecinie – wszędzie...

Pawilon produkujący beczki nawet o tej godzinie pełen jest ruchu i zgrzytu mechanicznych pił. Nie jak przy sennej glinie, stygnącej przed ostatecznym wypaleniem. Przygotowywanie klepek, ich formowanie, nakładanie obręczy odbywa się tak sprawnie, jakby obły kształt ściągnięty stalową taśmą był formą najnaturalniejszą w świecie. Ale wystarczy spojrzeć na ręce robotników: dębina pozostawia na nich niezmywalny ślad garbnika. Nie pomagają najlepsze proszki i ostre szczotki. To jest jak zawodowy dowód tożsamości.

– To, co widzicie tutaj, nie jest szczytem naszych możliwości. Mamy na koncie budowę beczek o pojemności dziesięciu, dwunastu tysięcy litrów. Oczywiście na specjalne zamówienia, a te nie zdarzają się co dzień, wymagają najlepszych fachowców. Podobne beczki powstają już na miejscu przeznaczenia, trudno jest przetransportować przedmiot o wadze wielu ton i wysokości czterech metrów.

* * *

Znów wracamy do warsztatu pana Żołnacza. Na desce gotowych wyrobów przybyło kilka wazonów, gospodarz staje się rozmowniejszy.

– Trochę się śpieszyłem, garncarstwo nie jest moim jedynym zajęciem. Prawda, odziedziczyłem je po ojcu i dziadku, ale też nie automatycznie. Tak naprawdę chciałem być kiedyś technikiem radiowym. Nawet skończyłem odpowiednie kursy, teraz jak znalazł. Zawsze w domu czy u sąsiadów można coś naprawić, pomóc w razie awarii. Nie robię tego jednak zawodowo, jak kiedyś planowałem... Po śmierci ojca, cztery lata temu, zajmowałem się głównie uprawą ziemi i choć nie mam jej dużo, przecież nie mogę pozwolić, żeby leżała odłogiem. Potem budowa domu, w większości własnymi siłami. Gdy tylko przewaliły się najcięższe prace i można było trochę odetchnąć, poczułem, że czegoś mi brakuje, coś jeszcze powinienem zrobić. Uruchomiłem koło ojca, podreperowałem piec do wypalania i tak się zaczęło. Człowiek bardzo szybko wciąga się, przyzwyczaja do czegoś, na co patrzył całe życie. Dzisiaj myślę, jakby ulepszyć warsztat, jak zbudować, do spółki z kolegą nowy piec... Pewnie więc już przy garncarstwie zostanę.

Idziemy obejrzeć piec. Zupełnie nie przypomina tych znanych, kaflowych. Nad ziemią ledwie wystaje czarny, okopcony grzbiet konstrukcji, do wnętrza której może wejść dorosły człowiek, by poustawiać tam warstwy przyszłych siwaków. Potem otwór zakrywa się specjalną blachą i przysypuje piaskiem. Palenisko umieszczone z drugiej strony do jednego wypalenia pożera kilka metrów sześciennych drewna, jedynego odpowiedniego surowca. Ziemna izolacja uniemożliwiając wydostawanie się na zewnątrz powstających w tym procesie gazów powoduje, że wazony pokrywają się charakterystycznym kolorem. Po dwóch dniach wypalanie zakończone.

Zostawiamy pana Żołnacza mocno zadumanego. Patrzy na piec z odrobiną pogardy. „Nowy to będzie dopiero prawdziwy piec!"... Pewnie też prezes Kubiak z „Pawłowianki" długo jeszcze będzie pytał: – I jak, Zenek, kiedy dasz mi nowy transport siwaków? Jutro. I za tydzień. I za dwa lata. Bo tradycja w Pawłowie jest jedna: albo beczki, albo wazony. Trudno się wyłamać...

Stary piec działał sprawnie wiele lat. Ile wyszło z niego srebrzystych siwaków? Może 5, może 10 tysięcy – któż to teraz zliczy. Przed latem wymurują do spółki z kolegą nową budowlę. Oczywiście sami. Czegóż to człowiek nie musi się w życiu nauczyć

MAREK ZARĘBSKI

Fot. **Jacek Łopuszyński**

WYTNIJ, ZACHOWAJ!

Po zebraniu 20 kuponów o różnych numerach, naklej je na kartę pocztową i prześlij do redakcji. Weźmiesz udział w losowaniu nagród!

Kupon LOT-21 konkursowy

ANTONOW AN-24 W

Dwusilnikowy turbośmigłowy samolot krótkiego i średniego zasięgu. W 1958 roku, znany radziecki konstruktor lotniczy, Oleg Antonow otrzymał zadanie opracowania samolotu o napędzie turbośmigłowym przeznaczonego do obsługi krótkich i średnich pasażerskich tras lotniczych. Prototyp takiego samolotu, oznaczonego An-24, został oblatany 20 grudnia 1959 roku, zaś w czerwcu następnego roku dokonano jego publicznej prezentacji. Po przejściu państwowych prób wszedł w 1962 roku do seryjnej produkcji. Zaś we wrześniu 1963 roku wprowadzono go do służby w radzieckim „Aerofłocie".

An-24 zabierał początkowo 32–40 osób, a jego późniejsza wersja An-24W od 44 do 52 pasażerów. Samolot był produkowany już według nowych technologii; elementy płata były wykonane poprzez chemiczne trawienie i metodą sklejania. Był niezatapialny, po przymusowym „wodowaniu" mógł być holowany do brzegu.

Istniała również jego wersja transportowa An-24T, z której powstał An-26, przeznaczony wyłącznie dla przewozu towarów i dla wojsk desantowych.

Charakterystyka: dwusilnikowy wolnonośny górnopłat (grzbietopłat) o metalowej konstrukcji półskorupowej. Końce skrzydeł o ujemnym wzniosie. Radarowe urządzenie meteorologiczne. Podwozie trójkołowe z przednim kołem sterowanym. Załoga – 3 (5) osób, pasażerów – 44. Silniki: turbośmigłowe AI-24 o mocy 2550 KM każdy. Rozp. – 29,20 m, cięż. maks. – 21 000 kg, prędk. maks. – 490 km/h.

GWIAZDOZBIÓR

Powroty gwiazdy

ANOUK AIMÉE

Oglądamy ją na ekranie rzadko, ale prawie każda jej rola wywołuje lawinę pochlebnych, entuzjastycznych recenzji.

Kariera Anouk trwa od 30 lat. Debiutowała w 1948 r. u boku znanych aktorów Serge Reggianiego i Pierre Brassena w filmie André Cayate'a pt. „Kochankowie z Werony". Była wtedy w wieku szekspirowskiej Julii. Chwalono ją wtedy nie za subtelną urodę, ani nie za wdzięk naturalnej gry, ale właśnie za kunszt aktorski – niezwykły u tak młodej dziewczyny. Przepowiadano jej ogromną karierę.

Budziła powszechny zachwyt, nawet modny angielski malarz Baolthus marzył o tym, by móc ją sportretować. Zawojowała swym wdziękiem Anglię, gdzie wystąpiła w filmie „Złota Salamandra". Zapraszano ją również do Hiszpanii proponując rolę w „Burzliwej nocy". Aimée Anouk wolała jednak pozostać w Paryżu. Zrezygnowała z filmu. Przeżywała pierwszą miłość. W 1951 roku wyszła za Niko Papatakisa kierującego kabaretem „Czerwona róża" – miejscem spotkań egzystencjalistów francuskich. Na ślub zaproszono wszystkich mieszkańców Saint-Germain-des Prés. Przyjaźniła się wtedy z poetą Jacquesem Prevertem, który napisał dla niej piękną balladę i Jeanem Genetem, który w dniu ślubu wręczył jej scenariusz filmu „Mademoiselle". Zagrała w nim dopiero kilka lat później wraz ze słynną Jeanne Moreau.

Tymczasem poświęciła się domowi, urodziła córkę Manuelę, a jej kontakt ze sztuką ograniczył się jedynie do zagrania kilku ról w sztukach, m.in. w „Południu" według Juliena Greena i użyczeniu swego głosu do filmu animowanego Jacquesa Preverta. Odkryta i sławna w wieku lat 15, została zapomniana jako 20-letnia aktorka.

Zjawił się wtedy Aleksandre Astruc i zaproponował jej rolę w „Niedobrych spotkaniach". Film nie był sukcesem kasowym, ale Anouk zatriumfowała. Pisano o niej, że jest czarodziejką filmu. Mówiono, że wyraz lekkiego rozczarowania, który pojawił się na jej twarzy dodaje jej tylko charakteru i jest piękniejsza niż kiedykolwiek. Ponieważ jej sytuacja finansowa nie przedstawiała się najlepiej, wyjechała do RFN i zagrała w trzech filmach, które nie miały specjalnego znaczenia dla jej kariery. Znów nastąpiła kilkumiesięczna przerwa, ale lata 56/57 były dla niej czasem dużego wysiłku twórczego. Zagrała m.in. jedyną miłość Modiglianiego z Gerardem Philipem jako partnerem. I znów została zauważona i wychwalano ją pod niebiosa.

W 1959 roku Federico Fellini zaproponował jej rolę w „Słodkim życiu". Praca z nim stanowiła dla artystki ogromne przeżycie: *„Nigdy nie zapomnę Felliniego. Od niego nauczyłam się, że najważniejszą rzeczą w świecie jest nie brać samej siebie poważnie. Można bawić się własną pracą, a równocześnie wykonywać ją dobrze".*

Miała tzw. dobrą passę. w 1960 roku zagrała w „Osiem i pół"; następną wielką rolą była Lola w filmie Jacquesa Demy'ego. Była inną Lolą niż słynna Marlena, ale od tej pory zaczęto nazywać ją Marleną. Po tym sukcesie znów, bez ostrzeżenia, zniknęła z ekranów.

„Nie mam zbyt wygórowanych potrzeb finansowych – mówiła w wywiadach – *prowadzę spokojny tryb życia".*

Po kolejnych miesiącach przerwy w pracy nie oparła się jednak magii kamery. Nagle zjawiła się w studio, bez jednego słowa, jak gdyby wyszła z niego wczoraj. Sprawił to reżyser Claude Lelouch scenariuszem „Kobiety i mężczyzny". Zagrała Annę – stała się wydarzeniem festiwalu w Cannes. W Los Angeles odebrała „Złoty Glob" jako najlepsza aktorka 1966 roku. Jej filmowy partner Pierre Barauh został jej drugim mężem. Pisano, że serce Aimée bije w rytmie „Chabadabada". Razem z mężem wyjechała do Hollywood.

„Zaoferowano mi 7-letni kontrakt i mnóstwo pieniędzy, ale nie czułam chęci do pracy. Nie podobały mi się scenariusze. W którymś momencie musiałam rozczarować Amerykanów, którzy chcieli ze mnie zrobić nową Gretę Garbo".

W tym okresie Anouk Aimée grała najwyżej w jednym filmie rocznie. *„Chyba nie jestem prawdziwą aktorką* – skarżyła się – *nigdy nie miałam tego świętego ognia".* Pobyt w Ameryce skończył się zerwaniem wszelkich kontraktów i zerwaniem... z Pierrem.

Przeniosła się do Londynu i osiem lat przeżyła w zaciszu domowym. Kto wie, jak potoczyłaby się jej kariera i czy nie byłoby to już ostateczne zerwanie z filmem, gdyby nie „Druga szansa" Clauda Leloucha. Na planie tego udanego filmu Anouk zainteresowała się młodym asystentem reżysera Elie Chouraqui i postanowiła pomóc mu w realizacji marzeń. Chouraqui chciał samodzielnie wyreżyserować film. Aktorka, by dać mu szansę zakupiła prawa do sfilmowania powieści Jacka-Alaina Legera, stworzyła firmę produkcyjną i sama zagrała główną rolę w filmie debiutanta – „Moja pierwsza miłość".

Jest to historia młodej, pięknej kobiety chorej na nieuleczalną leukenię. Jej syn Richard ma 17 lat i niezbyt wiele uwagi, jak dotąd, poświęcał matce. Gdy dowiedział się o jej chorobie, przeżył wstrząs. Zdał sobie sprawę, że matka jest najukochańszą kobietą w jego życiu. Przestała istnieć dla niego dziewczyna, towarzystwo, sport. Robił wszystko, by ostatnie chwile jej życia opromienione były radością i spokojem. Powstała nowa „Love story" – film zadziwiający (choć debiut) dojrzałym mistrzostwem, wypełniony pięknymi pejzażami, subtelną muzyką Michela Legranda. Kolejny powrót niezmiennie pięknej i utalentowanej Aimée okazał się wielkim sukcesem. Być może będziemy mieli okazję i u nas oglądać francuskie Love story, sami je ocenić i zachwycić się grą zdumiewającej aktorki, która nie walczy o karierę lecz zdobywa sukcesy jakby od niechcenia.

EWA BIELSKA

DOM MODY świata młodych

MAŁO RZECZY DUŻO STROJÓW

Dostałam kilka miesięcy temu list od jednej dziewczyny, która pracowicie wypisała na kilku arkuszach papieru podaniowego, jakie ciuchy w swojej szafie posiada, a na koniec zadała mi pytanie – „jak się ma ubierać?". Bo jej się wydaje, że... całkiem nie ma się w co ubrać. Ja odniosłam całkiem podobne wrażenie. Bo mimo że autorka listu miała różnych rzeczy do ubrania naprawdę bez liku (samych spodni 7 czy 8 par, a spódnic – kilkanaście), to wszystko razem było „od sasa do lasa" i z dużym trudem dawało się zestawić z tego zaledwie parę sensownych strojów. Bo jak już udało się znaleźć bluzkę pasującą do spódnicy kolorem, to całkiem nie grały ich fasony, albo – na odwrót.

Była owa dziewczyna autorką błędu dość często popełnianego, wcale zresztą nie tylko przez nastolatki, ale i przez całkiem dorosłe panie też. Błędu polegającego na wyobrażaniu sobie, że, aby być dobrze ubraną, to trzeba mieć ogromne ilości ciuchów. A to wcale tak nie jest. Bo po pierwsze – kogo na to stać? (każdy ciuch wszak kosztuje); po drugie – gdzie takie ilości w naszych mieszkaniach trzymać?; po trzecie – moda się stosunkowo szybko zmienia i albo człowiek będzie zmuszony donaszać niemodne już, ale „całkiem dobre" rzeczy, albo wyrzucać rzeczy minimalnie zużyte, a to przecież byłoby marnotrawstwo; a po czwarte – nawet cztery szafy ciuchów, które wzajemnie do siebie nie pasują, w efekcie szczęścia nie dają, bo gdy przyjdzie co do czego, to okazuje się, że... nie ma się w co ubrać.

Dlatego znacznie lepiej jest – i na tym polega prawdziwa elegancja – mieć rzeczy niewiele, ale starannie i z rozmysłem dobranych, aby można je było wszystkie (albo prawie wszystkie) wzajemnie ze sobą w wiele różnych kombinacji zestawiać. Błędem ogromnym jest np. kupowanie czy szycie najcudowniejszej nawet bluzki, która pasuje do jednej tylko jedynej spódnicy i do niczego więcej. Bluzka jest w tym momencie tylko przykładem, dotyczy to absolutnie wszystkiego, co człowiek postanawia sobie do ubrania sprawić. Szczególnie gdy człowiek ma lat 13, 14 czy 15 i możliwości finansowe raczej ograniczone.

Fundamentalną sprawą jest określenie tzw. podstawowej gamy kolorystycznej swojej garderoby. Uzależnić ją należy oczywiście i od upodobań, i od tego, w czym jest komu najbardziej do twarzy, ale trzeba się do niej przy sprawianiu sobie nowych rzeczy konsekwentnie stosować. Oczywiście przy mniej kosztownych drobiazgach można sobie pozwolić na odstępstwa i fantazję, ale ciuchy podstawowe powinny być w tej gamie kolorów utrzymane. Tylko ona zapewnia bowiem możliwość stosowania maximum kombinacji, a każda nowa rzecz jest wtedy sensownym uzupełnieniem posiadanej już całości. Rzecz jasna, powinna pasować do reszty i swoim fasonem, ale to już jest i bardziej oczywiste, i znacznie prostsze.

Dziewczyna na zdjęciach obok wybrała sobie jako podstawowe kolory wszystkie odcienie beżu, a w charakterze kolorów uzupełniających – czarny, czerwony i biały. Jest to oczywiście tylko przykład wyjaśniający bardziej plastycznie mój powyższy wywód. Jestem jak najdalsza od namawiania kogokolwiek do ślepego jej naśladowania. Chciałabym jedynie, żebyście się nad swoimi ciuchami i tym, co będziecie sobie w przyszłości sprawiały, troszkę poważniej zastanowiły.

RIUSZKA

Pracowite „Antki"

Zanim w LOCIE rozpoczęła się era odrzutowców, musiano uporządkować krajowe linie lotnicze. Przez pewien czas ilość lotniczych połączeń krajowych nie wzrastała. Do 1961 roku było ich tylko 11, czyli prawie tyle samo co przed wojną. W latach od 1932 do 1939 roku – bez zmian w tym okresie – takich połączeń istniało 10.

W 1961 roku krajowe linie LOT-u obsługiwane były przez samoloty z silnikami tłokowymi, głównie Ily-14P. Ale również przez poczciwe „litki", których wtedy LOT posiadał jeszcze 25 sztuk. Były one jednak już coraz mniej odpowiednie do przewozu pasażerów nawet na krótkich liniach krajowych. Wymagały pilnej wymiany na sprzęt bardziej nowoczesny...

Tymczasem mała komunikacja lotnicza w świecie wkraczała w erę turbośmigłowych samolotów – opracowanych specjalnie dla obsługi krótkich tras i lądowania oraz startu z lotnisk o niewielkich rozmiarach, dysponujących skromnym wyposażeniem. Na Zachodzie rewelacyjnym dla takich zadań okazał się samolot pasażerski „Friendship", wyposażony przez holenderską wytwórnię lotniczą Fokker. Był to grzbietopłat o nisko zawieszonym kadłubie – prawie przy ziemi.

Dysponował niewielkimi – ot parę stopni – schodkami wysuwanymi z kadłuba po otwarciu drzwi. Turbośmigłowy samolot pasażerski o identycznym rozwiązaniu opracował radziecki konstruktor Oleg Antonow. Był to An-24, który wkrótce stał się w ZSRR niezwykle popularnym samolotem pasażerskim. Przez pierwsze cztery lata swej służby w Aerofłocie przewiózł on ponad 2,5 miliona pasażerów. W 1970 roku obsługiwał ponad 500 tras wewnętrznej komunikacji lotniczej, spośród 3000 regularnych linii istniejących w Kraju Rad. Stał się również popularny w krajach RWPG oraz wielu państwach Trzeciego Świata.

LOT zakupił ogółem 20 samolotów tego typu. Pierwsza partia 10 sztuk rozpoczęła służbę wiosną 1966 roku, następne nadchodziły już mniejszymi partiami w różnych latach, ostatni w 1977 roku. Zakupione dla Polski Any-24 otrzymały wyposażenie radionawigacyjne wg wymagań LOT-u. Początkowo obsługiwały krótsze linie zagraniczne oraz – wypierając bardzo wysłużone „litki" i starzejące się już Ily-14P – większość linii krajowych. Z czasem, wypierane z linii zagranicznych przez samoloty bardziej do tego przystosowane, ograniczyły się do lotów prawie wyłącznie na trasach krajowych. Z tras zagranicznych obsługują jeszcze połączenia do Kijowa i Pragi. Przesunięcie Anów-24 na trasy krajowe pozwoliło na zwiększenie ilości połączeń. W 1967 roku otwarto 5 nowych, w 1976 oraz w 1977 2 dalsze. Ogółem istnieje obecnie 18 połączeń krajowych.

ZASADNICZA SZKOŁA GÓRNICZA
KOPALNI WĘGLA KAMIENNEGO „ANNA"
IM. POWSTAŃCÓW ŚL.
w Wodzisławiu Śl.-Pszowie
ul. Traugutta 32

Ogłasza zapisy na semestr wiosenny

Szkoła kształci w zawodach:
- górnik technicznej eksploatacji złóż
- mechanik maszyn i urządzeń przeróbczych
- monter układów elektrycznych i automatyki przemysłowej
- mechanik maszyn i urządzeń górnictwa podziemnego
- elektromonter górnictwa podziemnego

Warunki przyjęcia:
1. nie przekroczony 18 rok życia
2. ukończenie szkoły podstawowej
3. zaświadczenie lekarza górniczej służby zdrowia stwierdzające przydatność do zawodu górniczego (skierowanie na badania udziela dyrekcja szkoły, do której należy zgłaszać się osobiście).

Kopalnia prowadząca szkołę zapewnia pomoc materialną w wysokości od 600–1.600,– zł miesięcznie.
Uczniowie mieszkający w internacie otrzymują bezpłatne wyżywienie oraz od 250–1.080,– zł miesięcznie na własne wydatki.

Poza tym otrzymują umundurowanie, ubranie robocze i obuwie. Uczniom uzyskującym pozytywne oceny przyznawane są dodatkowe premie do 25% stawki miesięcznej.
Po ukończeniu szkoły chętni mogą kształcić się dalej w technikach górniczych lub podjąć pracę.
Bliższych informacji udziela dyrekcja szkoły.

K-69

III Turniej Warcabowy

O PUCHAR „ŚWIATA MŁODYCH" I GŁÓWNEJ KWATERY ZHP

Prowadzi Romuald Frey

Zadanie 21. Białe zaczynają i wygrywają. Należy wskazać jak do tego doszło. Za prawidłowe rozwiązanie – 2 punkty.
Ustawienie kamieni: Białe: 22, 26, 28, 31, 32, 35, 36, 38, 39, 42, 48
Czarne: 6, 8, 9, 10, 11, 16, 17, 19, 20, 23, 24, 29

Zadanie 22. Białe zaczynają i wygrywają. Należy wskazać jak do tego doszło. Za prawidłowe rozwiązanie – 2 punkty.
Ustawienie kamieni: Białe: 11, 15, 18, 22, 23, 29, 32, 33, 41, 44, 49
Czarne: 2, 7, 8, 9, 12, 14, 16, 20, 24, 30, 37

Rozwiązania należy przesyłać na adres redakcji w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru. Na kopercie lub kartce pocztowej zaznaczcie – „Turniej warcabowy".

Rozwiązanie zadania 13. 1. 28–22! 18:27 2. 47–41! 36:47 3. 46–41! 47:49 4. 41–36 27:38 5. 36:20 14:25 6. 39–33! 38:29 7. 50–44 49:40 8. 45:3.

Rozwiązanie zadania 14. 1. 37–31! 26:37 2. 47–41! 37:46 3. 50–45! 46:23 4. 29–24! 23:40 5. 24:2 25:34 6. 2:16:43:25:9:22 17:28:39 7. 45:43.

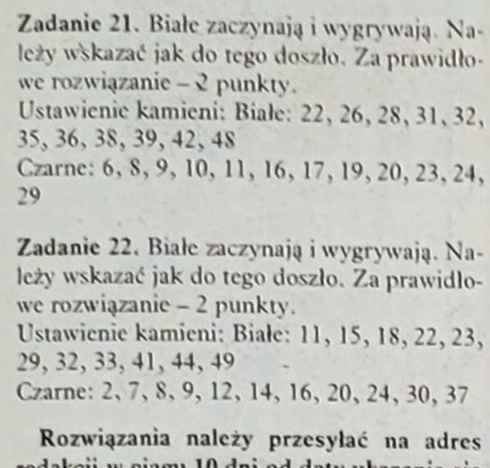

Zadanie 21

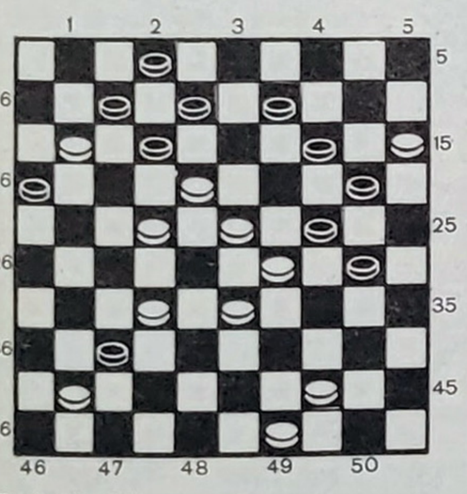

Zadanie 22

CZWARTA MIĘDZYNARODOWA WYPRAWA W KOSMOS

Na dwa dni przed świętem kosmonautyki, 10 kwietnia br, z kosmodromu Bajkonur wystartował kolejny statek „Sojuz-33" z międzynarodową załogą na pokładzie. Tym razem obok radzieckiego dowódcy statku, Nikołaja Rukawisznikowa, poleciał obywatel Ludowej Republiki Bułgarii, kosmonauta-badacz major Georgi Iwanow (na zdjęciu z prawej). Była to czwarta międzynarodowa wyprawa realizowana w ramach programu „interkosmos". Dotychczas, poza kosmonautami Związku Radzieckiego i astronautami Stanów Zjednoczonych w kosmosie przebywali: V. Remek (CSRS), M. Hermaszewski (PRL) i S. Jahn (NRD).

Nikołaja Rukawisznikowa, dwukrotnego bohatera Związku Radzieckiego, znamy od dawna. Brał on już dwukrotnie udział w wyprawach kosmicznych. Po raz pierwszy w kwietniu 1971 r. jako inżynier pokładowy na statku „Sojuz-10" i w grudniu 1974 r., w tym samym charakterze, na statku „Sojuz-16".

Kosmonauta bułgarski, Georgi Iwanow, urodził się 39 lat temu w mieście Łowecz. W 1964 r. ukończył Wyższą Szkołę Lotniczą im. Benkowskiego. Posiada dyplom pilota pierwszej klasy. Ma żonę Natalię i 12-letnią córkę Anię. Przyjaciele mówią o nim, że jest skromny i zdyscyplinowany, a jednocześnie w pracy zdecydowany i odważny – umie znaleźć optymalne wyjście z trudnej sytuacji.

Program radziecko-bułgarskiej wyprawy przewidywał połączenie się „Sojuza-33" z zespołem orbitalnym „Salut-6" – „Sojuz-32", w którym przebywają od 25 lutego br. dwaj kosmonauci radzieccy, W. Lachow i W. Riumin. Badania naukowe, jakie mieli przeprowadzić w laboratoriach pokładowych „Saluta-6" obejmowały łącznie 27 eksperymentów. Niestety, na skutek niesprawnego działania układu napędowo-zbliżeniowego „Sojuza-33" zaniechano łączenia statku z zespołem orbitalnym. Centrum dowodzenia lotami kosmicznymi pod Moskwą zadecydowało w tej sytuacji sprowadzić „Sojuza-33" na Ziemię. Lądowanie międzynarodowej załogi nastąpiło wieczorem 12 kwietnia. Obydwaj kosmonauci, Rukawisznikow i Iwanow, czują się dobrze.

Szkoda, że awaria na statku „Sojuz-33" uniemożliwiła realizację bogatego i tak długo przygotowywanego przez instytuty ZSRR i Bułgarii programu badań. Był on pomyślany w ten sposób, iż stanowił kontynuację wcześniej podjętych doświadczeń przez załogi międzynarodowe. Mało dotychczas pisaliśmy o wkładzie Bułgarii do badań kosmosu, a jest on znaczący. Specjaliści bułgarscy zbudowali oryginalne, wysokiej klasy aparaty kosmiczne dla wyposażenia czterech sputników „Interkosmos", czterech ciężkich rakiet geofizycznych „Vertikal" oraz pięciu rakiet meteorologicznych. Również obecnie krążą nad nami dwa wielkie aparaty bułgarskie na pokładzie automatycznej stacji orbitalnej „Interkosmos-19", które przekazują cenne informacje z przestrzeni kosmicznej.

Niepowodzenie radziecko-bułgarskiej misji uświadamia nam, iż loty w kosmos nie są zwykłą przejażdżką, że wymagają odwagi i bohaterstwa od kosmonautów przecierających ludzkości drogę w NIEZNANE.

Prezes TOMIKA
St. BOROWIECKI

RÓŻNICE MIĘDZY GALAKTYKAMI SPIRALNYMI I ELIPTYCZNYMI

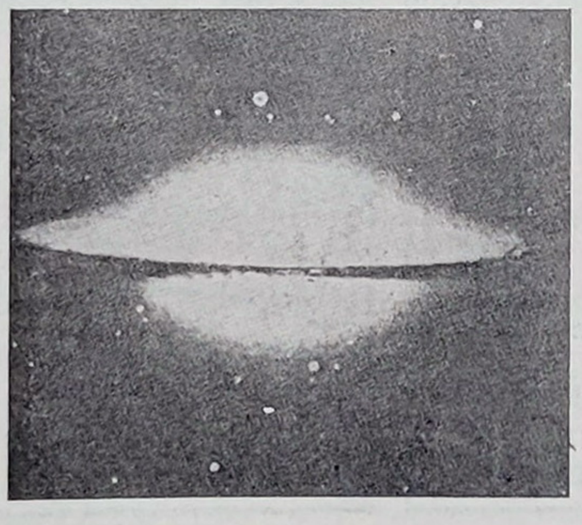

Chciałbym wyjaśnić co sprawia, że niektóre galaktyki mają zewnętrzny dysk i ramiona spiralne, a inne nie? Pewne światło na tę sprawę rzucili kilka lat temu astronomowie Baade i Spitzer, którzy zwrócili uwagę na fakt, że galaktyki zderzają się ze sobą od czasu do czasu. Galaktyki wchodzące w skład jakiejś gromady poruszają się względem siebie i mogą czasem zderzyć się ze sobą. Zderzenie dwu galaktyk nie jest jednak katastrofą, jak można by sądzić na pierwszy rzut oka. Nie dochodzi prawie zupełnie do zderzeń gwiazd należących do dwu galaktyk. Odległości między gwiazdami są przecież tak wielkie, a ich rozmiary tak małe, że prawdopodobieństwo spotkania się dwu gwiazd jest znikome.

Sytuacja wygląda jednak zupełnie inaczej dla gazu międzygwiezdnego. Należące do dwu galaktyk obłoki muszą się zderzać ze sobą bardzo gwałtownie. W wyniku zderzeń temperatura gazu silnie wzrasta. Jeżeli prędkość zderzenia dwu galaktyk jest wystarczająco duża, to gaz musi ulec wymieceniu z obydwu galaktyk.

Wróćmy teraz do galaktyk spiralnych i eliptycznych. Sądzi się, iż naturalna droga rozwojowa każdej galaktyki polega na wykształtowaniu zewnętrznego dysku i ramion spiralnych. Zderzenia galaktyk mogą jednak zmienić tę naturalną drogę rozwojową. Jeżeli galaktyka zderzy się z inną zanim zdoła wykształtować zewnętrzny dysk, to w wyniku zderzenia utraci całą swą materię międzygwiazdową, i to co pozostanie będzie typową galaktyką eliptyczną. Jeżeli zderzenie nastąpi później, już wtedy gdy galaktyka posiada dysk i ramiona spiralne, to wynikiem zderzenia winna być galaktyka taka np. jak NGC 4594 (na zdjęciu), ale pozbawiona materii międzygwiazdowej. Znane są i takie galaktyki. W schemacie klasyfikacyjnym Hubblea oznaczamy je symbolem SO. Właśnie istnienie tych galaktyk nasunęło Baademu i Spitzerowi myśl o roli zderzeń galaktyk. Wreszcie możliwa jest i taka sytuacja, że galaktyka unika zderzeń i wtedy obserwujemy ją jako typową galaktykę spiralną. Powyższą hipotezę można, przynajmniej częściowo, sprawdzić z danymi obserwacyjnymi.

Jeśli hipoteza ta jest prawdziwa, to galaktyk eliptycznych powinno być więcej w obszarach, gdzie prawdopodobieństwo zderzeń jest duże. I tak jest rzeczywiście. W centralnych częściach gromad galaktyk, takich jak gromada w Warkoczu Bereniki, obserwujemy dużą ilość galaktyk eliptycznych, a tylko kilka galaktyk spiralnych. Przy przejściu do zewnętrznych obszarów gromady sytuacja ulega odwróceniu. Można spodziewać się, że w częściach zewnętrznych zderzenia nie są tak częste, jak w samym środku gromady.

Marek Struk
Os. Rzeczypospolitej 109 m 7
61-389 Poznań
Członek Klubu „FANDISK 2190"

Wilk wiedział, że z tego musi być jakieś poważne nieszczęście. Nie wiedział tylko jakie i nie miał też pojęcia, jak on sam mógłby temu nieszczęściu zapobiec. Stary zanim okrążył stół pyrgnął w syna trzymaną w garści szklanką po winie i nie trafił na szczęście. Ale to go rozwścieczyło do reszty. I chyba ten brzęk tłuczonego szkła obudził jakoś Adamiaka. Po co miał w młodym wieku umierać? Odwrócił się i prysnął w stronę wyjścia. A stary, chociaż wrażnie pijany, był blisko. Adamiak minął Wilka i już otwierał drzwi frontowe. Nie miał szans w tym wyścigu. Wilk zrozumiał, że Adamiak nie ma szans na doczekanie późnej starości. Mógł dać mu tę szansę i dał mu ją: stał w przedpokoju, więc wystawił tylko nogę. Adamiak frunął już po schodach. Wilk przekroczył ruszającego się wprawdzie, ale słabo i jęczącego cicho starego i poszedł za kumplem. Głowa tej rodziny wyrżnęła łbem w zamknięte skrzydło drzwi i dobrze, że się tak stało, bo mógł trafić w otwarte skrzydło i takim latającym sposobem dopaść uciekiniera. A tak przygłuszył się trochę i leżał spokojnie. Pozostali bracia nabrali ze stołu ile się dało tych słodkości, zwinęli nie rozpoczęte wino i prysnęli za Wilkiem. Nawet wyminęli go na schodach. Wilk wyszedł spokojnie na podwórko. Od jakiegoś czasu zauważył, że wstydzi się lęku, że woli się narażać na różne przykrości, niż miałby potem wstydzić się przed sobą za strach i szybkie bieganie. Adamiak kręcił się po ulicy. Zaraz podszedł do Wilka.

– I co teraz? – spytał.

– Pójdziemy do mnie na razie – powiedział Wilk.

– A co będzie potem? – dopytywał się Adamiak załamującym głosem.

– Już wiem. Zobaczysz – powiedział Wilk takim tonem, że Adamiak przestał zadawać niepoważne pytania. Uznał, że Wilk rzeczywiście wie, co będzie potem i że to potem może wyglądać interesująco.

* * *

Nie znałem jeszcze tego miasta i ono mnie nie znało. Nawet nie umiałem powiedzieć, czy to źle, czy dobrze. Pewnie i tak i nie. Brakowało mi tu wszystkiego dobrego z Warszawy, ale też wszystko, prawie wszystko, zło zostało w Warszawie. Tamto warszawskie. Czy ja wiem zresztą, jak to było naprawdę? Tu było inaczej, inne życie. Zresztą naprawdę, to jeszcze nic nie było. Miało być dopiero. Już wiedziałem, że muszę bardzo uważać na siebie, na swój paskudny charakter. Moja matka miała na pewno dużo racji, gdy się tak źle o moim charakterze wyrażała. Kiedyś mogłem nawet myśleć, że ona mnie zwyczajnie nie lubi, albo coś takiego. Obecnie jednak coraz częściej przypominałem sobie, że nie ona jedna miała zastrzeżenia do mojego charakteru. Czyli musiało coś we mnie być. Coś takiego, co powinienem znaleźć zanim zacznę poznawać to miasto, zanim ono pozna się na mnie. Muszę to znaleźć i bardzo tego pilnować, żeby samo ze mnie nie wyłaziło. Bo ja już jestem zupełnie kim innym niż przed rokiem, przed ponad rokiem. Ot, choćby to puszczanie na sznurku starej portmonentki. Przecież to cały ja „tamten"! Niby doroślejszy jestem, może poważniejszy nawet, bo mam swoje powody, zupełnie ode mnie niezależne powody, żeby być poważniejszym, a jednak te niepoważne i nawet zupełnie złośliwe gierki z ludźmi pociągają mnie, bawią... Więcej myślę. Z nudów i z czytania pewnie. Ojciec znosi mi książki w ogromnych ilościach, bo mówi, że nie zna się na tym i bierze z huty wszystko jak leci. Najpierw było tak, że przebierał, to znaczy przebierała ta bibliotekarka z huty, bo on jej wytłumaczył dla kogo potrzebuje tych książek. Więc ona dobierała jakieś nieliczne nadające się dla młodzieży, bo w końcu ta huta, to właśnie huta, a nie jakiś młodzieżowy dom kultury.

Takie młodzieżowe, przygodowe książki bardzo szybko się czytają. A w mojej sytuacji jeszcze szybciej. Przeczytałem je wszystkie w pierwszym miesiącu chyba i właśnie ojciec zaczął znosić mi książki bez wybierania i na ilość. We wszystkim był taki. Bo przyniósł kiedyś taką książkę „Żywienie w nowoczesnej rodzinie". Nawet pewnie nie wiedział, że ją przyniósł. Myślę, że wchodził do zakładowej biblioteki, podchodził do półki i stukając palcem w grzbiety książek mówił do bibliotekarki: odtąd dotąd. Na wagę. Ona już sobie potem te wszystkie karty wypisywała, a on denerwował się, że to tak długo trwa i że w bibliotece nie wolno palić. Potem wrzucał te książki do swojej teczki i starał się jak najszybciej dostać do domu.

Cdn.

Przygody Iwa Ancymona

Rysunki: SANDOR GUGI

Tłumaczyła: ANNA MAKOWSKA

Tekst: TIBOR CS. HORVÁTH

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33, telex 0315569).

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Marian Twaróg, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	21-81-13
TELEX	81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046.

Opracowanie graficzne

Tadeusz Baranowski

Opracowanie techniczne

Małgorzata Kula

DRUK: Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego

Zam. 2347/G C-119

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

HENRYK LOTHAMER

WILK

4

Przy gliniankach było cicho i prawie pusto. Jak nigdy w taką pogodę. To przez ten koniec roku szkolnego. Nikt się nie kąpał. Wszyscy siedzieli w domach i mieli na sobie odświętne miny i ubrania. Siedzieli z rodzicami, albo siedzieli i czekali na powrót tych rodziców z pracy.

– Moja matka wróci z pracy o czwartej – powiedział Wilk.

– No to co? – Adamiak nie wiedział po co Wilk to mówi.

– Nic. Tak sobie przypomniałem... – Wilk też nie wiedział dlaczego to mówi.

– Ty, a dlaczego ty jesteś Wilk, a twoja matka nie? – zainteresował się Adamiak.

– Bo ona wstydziła się tego nazwiska i po rozwodzie wróciła do swojego panieńskiego – wyjaśnił Wilk.

– A ty dlaczego nie wróciłeś? – zaciekawił się Adamiak.

– Takie głupie pytania zadajesz, jak byś nie wiedział, że chłop rodzi się z nazwiskiem i ma je przez całe życie po ojcu – powiedział Wilk.

– Racja – Adamiak pokiwał głową – zresztą to zupełnie w porządku nazwisko, tylko takie jakieś zwierzęce, nie?

– Sam jesteś zwierzęcy! – oburzył się Wilk – taki więcej bydlęcy – dodał.

– To pewnie też po ojcu – powiedział ze smutkiem Adamiak i roześmiał się zaraz pierwszy raz od wyrzucenia ich z klasy przez panią Chołyńską. – No, trzeba iść – wstał znad glinianki i otrzepał portki. – Moja matka też wraca o czwartej. Lepiej niech już będzie po wszystkim do jej powrotu, żeby i ona nie oberwała przy mnie...

– Idziemy razem – Wilk też się podniósł i ruszył za kumplem.

Już nie zatrzymywali się i nic nie gadali. Pewnie rzeczywiście chcieli mieć to za sobą. Adamiak chciał, a Wilk przy nim. Na podwórzu domu Adamiaka zobaczyli jego najmłodszą siostrę. Trzymała w garści ponad połowę tabliczki czekolady i wiadomo, że w tym upale była cała tą czekoladą wymazana.

– Mam same piątki i czwórki – powiedziała w powietrze, gdy ich spostrzegła. Powiedziawszy to odeszła dostojnie i wyniośle.

– Ze sprawowania i ze śpiewu – powiedział Adamiak. – Zdała do czwartej.

– Skąd ten twój stary bierze na czekolady? – zainteresował się Wilk.

– A łapie jakieś prywatne partaniny, żeby miał co mówić dzielnicowemu – Adamiak machnął ręką. – On by może i robił gdzieś na stałe, ale z tym piciem nigdzie go nie trzymają za długo, żeby się po pijaku w coś nie wkręcił i żeby mu nie musieli płacić odszkodowania, rozumiesz?

W końcu stanęli pod drzwiami mieszkania Adamiaków. Popatrzyli na siebie.

– To jak – spytał Adamiak – wchodzimy razem?

– Razem. – Wilk nawet sam otworzył drzwi.

W mieszkaniu było wesoło. Dwaj pozostali bracia Adamiaka zajadali się różnymi słodyczami, których było pełno na stole. Za tym stołem siedział stary. Nie był taki bardzo stary, tylko trochę po czterdziestce i pijany. Na stole pomiędzy ciastkami, truskawkami i cukierkami stały dwie butelki byle jakiego wina. Jedna prawie pusta. Wilk popatrzył na gęby obu radosnych Adamiaków i pomyślał, że stary musiał chyba poczęstować ich tym winem. Zaraz nawet był tego pewien, bo oni jeszcze wówczas, gdy stary przywitał Adamiaka straszliwym przekleństwem, jeszcze wówczas się zaśmiewali. Wilk został w przedpokoju, a Adamiak postąpił parę kroków w stronę stołu nie zważając na klątwy rodziciela. Wreszcie staremu skończył się repertuar i powiedział:

– Jesteś jedyną zakałą w tej rodzinie i czas z tym skończyć – zaczął podnosić się z krzesła.

Na te poważne słowa dwaj weseli Adamiacy spoważnieli. Odsunęli się pod ściany. Adamiak – zakała tej rodziny – przeciwnie, ożył jakby i wyprostował się.

– Sam, zgredzie, jesteś zakała i powinieneś ze sobą skończyć – powiedział, nie ruszając się z miejsca i patrząc staremu prosto w oczy.

Dokończenie na str. 7.